Nr. 34. Poznań, niedziela 23-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Rozwój socyalizmu w ziemiach polskich.

Delegaci socyalistycznych grup i związków, rozsianych po ziemiach polskich, ogłosili z powodu kongresu londyńskiego niemieckie(!) sprawozdanie z propagandy socyalistycznej na obszarach wszystkich trzech zaborów.

Sprawozdanie obejmuje cztery działy, opisujące działalność polskich socyalistów pod zaborem austryackim, pruskim i rosyjskim. wreszcie działalność „Zagranicznego związku dla polskich socyalistów“. Dział pierwszy nie zawiera wiele nowych i zajmujących szczegółów a odznacza się brakiem ścisłości statystycznej. Sprawozdanie stwierdza tutaj wzmożenie się ruchu socyalistycznego w obu częściach Galicyi od czasu kongresu zurychskiego, co najlepiej uwydatnia wzrost peryodycznej i przygodnej prasy socyalistycznej. Od grudnia 1894 r. wychodzi: „N. Robotnik“, organ wschodnio-galicyjskich kół agitacyjnych, trzy razy miesięcznie (zamiast dwa razy, jak to dotąd bywało); „Naprzód“, organ dla Galicyi zachodniej, raz w tygodniu (zamiast dwa razy na miesiąc); oba pisma mają nakładu 3,500 egzemplarzy. Oprócz tego założono: „Swiatło“ (przestało już dawno wychodzić. Przyp. Red.), organ fachowy drukarzy „Ognisko“, „Kuryer kolejowy“, organ fachowy robotników kolejowych. „Der Arbeiter“, dziennik w żargonie żydowskim. Nadto wydano 6 polskich i 4 żydowskie broszury.

Dalej, wspomina sprawozdanie o ruchu w sprawie reformy wyborczej i utworzeniu nowych organizacyi fachowych, które torują drogę czynności politycznej. Oprócz dwóch prowincyonalnych wieców stronnictwa i kilku wieców powiatowych, uczestniczyli socyaliści także w austryackich wiecach stronnictwa, a nadto urządzili wiele zgromadzeń ludowych. Co do kar sądowych. to — razem wziąwszy, — przesiedzieli dotychczas: w areszcie śledczym 12 lat, 8 miesięcy i 8 dni, w więzieniu zaś na mocy wyroku sądowego 7 lat, 8 miesięcy i 19 dni. Kary pieniężne wynosiły 131 złr.

Najbardziej zajmujący jest ustęp końcowy sprawozdania: o ruchu między ludnością wiejską. Przytaczamy go w dosłownym przekładzie:

„W niektórych miejscowościach, po wsiach, rozpoczęli nasi towarzysze czynność agitatorską. Klerykali i rząd szlachecki bronią tej ostatniej fortecy swej władzy politycznej, — lecz ruch ludowy chłopów polskich z patryotyczno-polskiemi tendencyami, oraz stronnictwo ruskie, opierające się na teoretycznym socyaliźmie, czynią wyłomy w tej fortecy, jeden po drugim. Jeżeli na dłuższy jeszcze czas jesteśmy zmuszeni organizować przeważnie proletaryat miejski, to nadchodzące wybory w kuryi piątej zmuszą nas do wkroczenia do kuryi wiejskich i pozyskania proletaryatu włościan i służby dla naszego programu.“

Przechodzimy do działu drugiego, poświęconego działalności stronnictwa w Poznańskiem. Agitacya socyalistyczna musi tu walczyć z wielkiemi trudnościami i dlatego rozwój socyalizmu jest tu o wiele mniejszy, aniżeli w Galicyi, lub w Królestwie polskiem. Zaraz po kongresie w Zurychu wzięto się do organizacyi stronnictwa, na wzór organizacyi niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej.

Co roku gromadzą się kongresy, które wybierają przewodników, kierujących następnie przez cały rok sprawami partyjnemi i reprezentujących te sprawy na zewnątrz. W kongresach niemieckiej socyalnej demokracyi bierze zawsze udział jeden delegat „polskiego stronnictwa socyalistycznego“. Jest to wielkiem postępem w organizacyi, dawniej bowiem każde stowarzyszenie, każda grupa działała na własną rękę. Jako „ogólną teoretyczną podstawę praktycznej działalności“ przyjęto program niemieckiej socyalnej demokracyi, przyczem położono nacisk na konieczność skutecznej agitacyi za autonomią polskich prowincyi i za wprowadzeniem polskiego języka wykładowego do naszych szkół. Kierownictwo partyi i organ tegoż oświadczały się też kilkakrotnie za koniecznością uzyskania niezawisłości kraju i sprawa ta była omawiana i w powyższym duchu rozwiązywana na publicznych zgromadzeniach. Agitacya polega głównie na rozszerzaniu pism i na zgromadzeniach. Święta 1. maja nie obchodzono dotychczas jeszcze ani razu w wielkich masach, ale i w tym kierunku objawia się postęp przez liczniejsze i poważniejsze w tym dniu zgromadzenia.

Na Górnym Szląsku zdobyło stronnictwo dopiero w latach ostatnich silną podstawę. Przyczynił się do tego znakomicie międzynarodowy kongres robotników górniczych, odbyty w Berlinie w r. 1894. Po kongresie tym rozpoczęła się zaraz — pomimo prześladowań — organizacya robotników górniczych, a wkrótce potem organ stronnictwa socyalistycznego zyskał na Górnym Szląsku około 600 abonentów.

Rocznica Kościuszkowska dała polskiej socyalnej demokracyi sposobność objawienia swego stanowiska wobec dawniejszych powstań, a pamięć czterech towarzyszy, straconych w Warszawie, uczczono równie uroczystym obchodem. jak w całej Polsce. Udział stronnictwa w ruchu wyborczym był dotychczas bardzo mały, w każdym razie jednak da się stwierdzić wzrost głosów, oddanych na kandydatów socyalistycznych. Nie brakło też prześladowań, które głównie dotykały redaktorów pism socyalistycznych i wybitniejszych agitatorów. Organem stronnictwa jest wychodząca raz na tydzień „Gazeta robotnicza“. Nadto wydano trzy broszury majowe, broszurę o położeniu robotników górniczych i przetłómaczono z niemieckiego pisemko ulotne p. t. „Baczność! Socyalni demokraci nadchodzą!“

Tyle powiada sprawozdanie o działalności polskiej socyalnej demokracyi w zaborze pruskim. Dział trzeci — jak już wspomnieliśmy wyżej — opisuje działalność stronnictwa w Królestwie polskiem. Proletaryat — czytamy w sprawozdaniu — znajduje się tutaj skutkiem barbarzyńskiego, politycznego i narodowego ucisku, w wyjątkowo trudnem położeniu. Zupełny brak politycznej wolności, prześladowanie języka, religii i wogóle wszystkiego, co rozróżnia Polaków od Rosyan, wreszcie brutalność i samowola rosyjskich czynowników — wszystko to zmusza robotników do stawiania na pierwszym planie żądania radykalnej zmiany politycznych stosunków. ale zarazem jest ogromną przeszkodą w szerzeniu świadomości klasowej i organizacyi proletaryatu, który uporządkowaniem swych spraw może zajmować

się tylko w tajemnicy, pod ustawiczną groźą surowej kary. Pomimo to i tutaj od czasu kongresu zurychskiego ruch robotniczy wzrasta. Należy to przypisać wzmocnieniu organizacyi partyjnej i postawieniu jasnego politycznego programu. Pierwszego dopięto przez stworzenie „Polskiego stronnictwa demokratycznego“ z dawnych organizacyi odrębnych i grup socyalistycznych. Drugie streszcza się w żądaniu niezawisłej demokratycznej polskiej rzeczypospolitej.

Agitacya z natury rzeczy musi się ograniczać do tajnej propagandy w fabrykach i warsztatach i do rozszerzania ulotnych pism socyalistycznych. To pociąga za sobą konieczność zakładania tajnych drukarń, zorganizowania stałego przemytnictwa przez granicę i wiele innych podobnych uciążliwych a zarazem kosztownych urządzeń. Ale polskie stronnictwo socyalistyczne nie zraża się temi trudnościami, czego najlepszym dowodem, że w ostatniem trzechleciu wydało dziewięć broszur agitacyjnych a około 100,000 egzemplarzy innych socyalistycznych pism i broszur przemycenęło przez granicę i rozrzuciło między robotnikami. W r. 1894 rozpoczęto wydawać pismo „Robotnik“. Pismo to, drukowane w tajnej drukarni, wychodzi raz na miesiąc, a wzrastająca ustawicznie liczba jego abonentów dochodzi do 1500. W razie, jeżeli wydaniu pisma stoi co na przeszkodzie, ogłasza stronnictwo proklamacye, które jako plakaty bywają rozlepiane na murach miasta i rozrzucane wśród publiczności. W ostatnich trzech latach wydano takich proklamacyi 22. Nadto wśród więcej wykształconych robotników szerzy się organ „Zagranicznego związku polskich socyalistów“ „Przedświt“, przemycany regularnie co miesiąca przez granicę.

Ruch socyalistyczny rozszerzył się w Królestwie w latach ostatnich także terytoryalnie. Dawniej obejmował on tylko dwa wielkie centra przemysłowe: Warszawę i Łódź — dziś do zdobyczy swoich może już zaliczyć: Radom, Częstochowę, Zawiercie, Pabjanie, Lublin i okręg fabryczny sosnowicki z 50,000 robotników. Dzień 1 maja — pomimo ucisku policyjnego — święcony jest corocznie w ten sposób, że 20—30 tysięcy robotników zaprzestaje w tym dniu roboty. W ciągu ostatnich trzech lat było 19 większych strejków, w których wzięło udział 61,400 robotników, czyli 20 proc. proletaryatu fabrycznego.

W miarę wzrostu ruchu, wzrosły także prześladowania. Dokładnej liczby ofiar — wobec panujących w Rosyi stosunków — trudno podać, to też sprawozdanie ogranicza się jedynie do statystyki ważniejszych procesów. Sądownie skazano jednego towarzysza na dożywotnie roboty przymusowe w kopalniach Sybiru, 4 towarzyszy razem na 38 lat takich robót, a jednego na dożywotnie więzienie. W drodze administracyjnej, to znaczy bez sądu, wymierzono ogółem 65 lat i 8 miesięcy więzienia z robotami przymusowemi; 407 lat zesłania na Sybir i do północnej Rosyi. Więzienie śledcze trwa przeciętnie $1^1/_2$ roku, jakkolwiek nie brak wypadków, w których dosięgało do lat 3 a nawet 3 i pół.

Były też w łonie stronnictwa chwilowe nieporozumienia, które nawet w r. 1893 spowodowały stworzenie osobnej grupy pod nazwą „Socyalnej demokracyi Królestwa polskiego“ — grupa ta jednak utrzymała się tylko przez dwa lata, poczem secesyoniści wrócili napowrót do stronnictwa.

Pozostaje nam jeszcze streszczenie sprawozdania o działalności „Zagranicznego związku dla polskich socyalistów“ i o taktyce stronnictwa. Zostawiamy to do jednego z następnych numerów.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Pan Chełkowski i opinia publiczna.

Nawięzując do uwag o sprzedaży Sośnicy komisyi kolonizacyjnej tak pisze „Przegląd Wszechpolski“:

„Z wyjątkiem „Gońca Wielkopolskiego“ żadne (?) inne z pism miejscowych nie oburzyło się z powodu tej sprzedaży, chociaż niektóre podały tylko wymienione fakty. Przeciwnie, znalazło się nawet pismo — ultralojalny i katolicki „Kuryer Poznański“, które otwarcie w obronie p. Chełkowskiego wystąpiło. Niejednemu z czytelników naszych wydać sie może dziwną taka obojętność opinii publicznej, sprobujemy więc ją wytłomaczyć.

Przedewszystkiem fakty podobne tak często się powtarzały, że nie mogą już wywierać silnego wrażenia. Powtóre t. zw. opinia publiczna w rzadkich wypadkach tylko bywa zgodnem wyrażeniem zdania ogółu. Zwykle są rozmaite opinie publiczne rozmaitych warstw i grup społecznych. Któraż z tych opinii może się oburzać na p. Chełkowskiego? Opinia tej warstwy, do której on należy, tj. obywatelstwa ziemskiego, już z tego względu pobłażliwą być musi, że nie ma chyba rodziny pańskiej lub szlacheckiej, którąby w gronie bliższych, bądź dalszych członków nie liczyła bodaj jednego sprzedawczyka. Po prostu ustałoby życie towarzyskie w tej klasie społecznej, zerwałyby się stosunki rodzinne, gdyby takie wykroczenia surowo potępiano. Zresztą szlachta wielkopolska i pruska wie o tem lub czuje bezwiednie, że jej rola społeczna już się skończyła. Ci co nie sprzedają Niemcom majątków, powstrzymują się od tego najczęściej przez wzgląd na stosunki lub interesy osobiste, interes publiczny bardzo mało ich w gruncie rzeczy obchodzi. Każdy niemal z nich w pewnych okolicznościach sprzedałby za dobre pieniądze swoją Sośnicę, nie może więc potępić sąsiada, który to zrobił. P. Chełkowski był tylko szczerszym i śmielszym może od innych.

Opinia znowu tych warstw, które widzą i rozumieją bankructwo moralne i materyalne szlachty, dla tego już nie może sądzić go surowo i bezwzględnie, że widzi w tego rodzaju faktach objawy naturalne pewnego procesu społecznego. Ci *morituri* są żywymi okazami rozkładu społecznego. Szkodliwe następstwa tego rozkładu należy usuwać, należy im przeciwdziałać, ale powstrzymywać jego przebiegu, tymbardziej gniewać

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Raz, gdy już w łóżku prosto siedzieć mogła, przyniósł jej ojciec papiery do podpisania. Drżącą ręką podpisała Wiera swoje imię, nie pytając wcale do czego to potrzebne straszliwem przeczuciem tknięta. W kilka tygodni potem, gdy już zupełnie zdrową była, powiedzieli jej rodzice, że Wasylcew zrobił przed śmiercią testament, w którym zapisał jej część swego majątku. Ojciec z wdzięczności za to uważał sobie za obowiązek oddać jej list Wasylcewa, pisany do niej przed śmiercią.

„Ty byłaś mi córką i kochanką, Wiero — pisał do niej — a teraz przed śmiercią myślę tylko o tobie, mnie nie udało się zrobić cośkolwiek na ziemi, całe życie byłem niepotrzebnym, bezużytecznym marzycielem! umieram, a ślady moje zostaną, jak trawa na polu, o której mowa w pieśni, skoszona, a miejsca, gdzie ona rosła znaleźć już nie można. Ty jednak Wiero moja, jesteś młoda, silna, ja wiem, ja czuję, że jesteś powołaną do czegoś wielkiego; to, o czem marzyłem, ty spełnisz, zrobisz to, co przeczuwałem tylko.“

Z głęboką czcią, przejmującą całą jej istotę, czytała Wiera te głoski, pisane dla niej ręką ostygłą nazawsze, zdawało jej się, że mówi do niej głos z tamtego świata. Nie doznawała już tej namiętnej, bezstronnej rozpaczy, jak dawniej, czuła jakgdyby się wielki czarny cień roztoczył na jej życiu, odcinając nazawsze możliwość osobistego szczęścia.

Choroba Wiery zmieniła cały kierunek w domu Barancowów. Po niej następowała jedna zmiana za drugą. Najprzód nastąpiło to, czego wszyscy dawno sobie życzyli i oczekiwali: Lena zaręczyła się. W miasteczku od dawnego czasu stał nowy pułk wojska, jeden z oficerów był sprawcą tej szczęśliwej zmiany. Wkrótce po weselu musiała młoda para wyjechać, gdyż ten pułk przeniesiono w inną stronę. Liza nudziła się teraz jeszcze bardziej i pojechała za siostrą z nadzieją znalezienia narzeczonego między kolegami szwagra. Tak rozproszyła się familia Barancowów. Ogólna cisza i spokój stały się teraz jeszcze monotonniejszemi, niż przedtem.

Ale wkrótce potem nastąpiło znowu nowe niespodziewane zdarzenie — już nie wesołe. Hrabia został sparaliżowany. Tym razem śmierć zapukała w okno i przeszła dalej, zostawiając niezatarte ślady. Nogi hrabiego zesztywniały, stracił pamięć. Drugim razem zachorowawszy, zdziecinniał zupełnie, leżał w wielkim fotelu, kaprysił i płakał, domagając się, żeby go bawiono, jak dziecko. Otoczenie nużyło się i męczyło nim coraz bardziej, wymagał on, ażeby mu ustawicznie opowiadano bajki; mógł mówić godzinami, przekręcając słowa, powtarzając sto razy jedno i to samo, obrażony, gdy go nie słuchano.

Tylko Wiera umiała pielęgnować starego, rozumiała jego mowę. Humor hrabiny zmienił się znacznie, stała się nadzwyczaj pobożną, otaczała się księżmi, mniszkami i pielgrzymami i odwróciła się od wszystkiego, co świeckie. Wiera pielęgnując chorego ojca, nie mogła myśleć o jakiejś działalności, poddała się losowi, zapadła w beznadziejną, pełną rezygnacyi apatyę. Nie można było przewidzieć kiedy się to skończy, lekarze utrzymywali bowiem, że choroba mogła trwać i lat dziesięć.

Ale ta zapowiedź nie spełniła się na szczęście. W trzy lata później zjawiła się śmierć nagle. Pewnego pięknego dnia zasnął hrabia spokojniej, niż zwykle, a gdy Wiera, zdziwiona jego długim snem, przyszła go budzić, znalazła go zimnym. Na pogrzeb zjechała się familia, potem rozeszli się wszyscy w romaitych kierunkach.

Hrabina objawiła córkom, że postano-

się, że rozpada i gnije to, co warunków do życia nie posiada — nie można.

Są niewątpliwie w warstwie szlacheckiej wyjątki dosyć liczne, których istnienie bałamuci opinię ludzi, nie zdających sobie sprawy z właściwego charakteru przeobrażeń społecznych. Ludzie tacy w najlepszej wierze łudzą się jeszcze, że można uratować to, co zginąć musi, że zjawi się jakiś cud, który „przeżyte kształty“ odrodzi, że dla kilku czy kilkudziesięciu sprawiedliwych ocaloną będzie Sodoma szlachecka, bo przecie nie jest ona taką grzeszną, jaką była jej imienniczka starożytna, owszem jest nawet dosyć sobie poczciwą i dobroduszną Sodomą. Widzą oni pomiędzy szlachetnymi wyjątkami i sprzedawczykami tłum szary, bezbarwny i sądzą, że ten tłum do poziomu wyjątków podnieść można, gdy w rzeczywistości tłum ten składa się ze sprzedawczyków *in potentia* lub z ludzi, skazanych na wymarcie, bo sami w to nie wierzą, że żyć mogą. Doświadczenie coraz częściej przekonywać będzie naiwnych, że ulegają złudzeniu optycznemu, że ten tłum, który jak się im zdaje, przechyla się na prawo i podnosi się ku górze, w samej rzeczy idzie na lewo i zsuwa się po pochyłości coraz niżej.“

* * *

Aresztowanie posła.

Ciekawą ilustracyę stosunków galicyjskich podaje „Kuryer Lwowski“. W Nr. 223 pisma tego czytamy:

„Fakt nadzwyczajny, wyjątkowy zdarzył się w ubiegłą niedzielę. Komisarz starostwa nie mający do tego żadnego pisemnego upoważnienia, aresztował posła na sejm krajowy z powodu całkiem fiktywnego i żadnym kodeksem nieprzewidzianego przekroczenia. Nie przesądzając tej sprawy chcemy dziś tylko stwierdzić sam fakt według opowiadań samego posła.

Członkowie czytelni gminnej w Wytaszycach pow. przemyskiego zwołali w ubiegłą niedzielę za poradą wójta Glińskiego poufne zgromadzenie za zaproszeniami imiennemi, celem narady nad sprawami gminy i powiatu. Rozumie się, że Gliński w niedzielę zaraz doniósł do starostwa o odbyć się mającem zgromadzeniu. Zaledwie zaproszeni się zebrali zjawił się też komisarz starostwa przemyskiego p. Mirski i rozwiązał zgromadzenie pod pretekstem, że we wsi istnieje choleryna. Proboszczowi miejscowemu oświadczył jednak, że trochę później, gdy się część zaproszonych rozejdzie, pozwoli na odbycie zgromadzenia.

Na zgromadzenie owe zaproszony był także poseł Nowakowski z sąsiednich Torek, zajęty jednak w domu zdążył przybyć do Wytyszyc dopiero o godz. 4, tj. parę godzin po rozwiązaniu zgromadzenia, kiedy ludzie bądź rozeszli się do domu, bądź też przechadzali się po ulicy. Poseł Nowakowski wszedł do czytelni, gdzie zastał księdza miejscowego, jeszcze 4 członków czytelni komisarza Mirskiego. Zaledwie poseł wszedł do czytelni, przystąpił do niego komisarz i zapytał:

— Cóż to, panie Nowakowski, czy będziemy się co niedzieli spotykać?

Dodamy, że p. Mirski poprzedniej niedzieli rozwiązał takie samo poufne zgromadzenie włościan w Torkach i kilkakrotnie już groził posłowi Nowakowskiemu aresztowaniem. Poseł Nowakowski na to obcesowe zapytanie odpowiedział, że mogą się spotykać i częściej, niż raz w tygodniu, poczem komisarz oświadczył mu, że zgromadzenie jest rozwiązane z powodu choleryny. Poseł Nowakowski zapytał, czy choleryna jest rzeczywiście urzędownie stwierdzona przez lekarza powiatowego (co nie miało miejsca) komisarz jednak w odpowiedzi na to wezwał go, by natychmiast salę opuścił. P. Nowakowski odparł, że nie widzi tu żadnego zgromadzenia, lecz wszedł do czytelni, gdzie mu przecież wolno być. Komisarz powtórzył jeszcze raz wezwanie do opuszczenia sali, gdy jednak Nowakowski tego nie usłuchał i za trzeciem wezwaniem sali nie opuścił, tłómacząc komisarzowi zupełną bezpodstawność tego żądania, komisarz przywołał żandarma, kazał aresztować posła i odstawić do starostwa w Przemyślu. Nowakowski nie opierał się, najął podwodę i w towarzystwie żandarma pojechał do Przemyśla, dokąd równocześnie p. Mirski pojechał fiakrem.

W starostwie kazano Nowakowskiemu pod opieką żandarma pół godziny czekać na kurytarzu. Następnie wezwał go komisarz N. celem spisania protokółu, gdy jednak Nowakowski oświadczył, że żadnego protokółu w starostwie składać nie będzie i prosi o niezwłoczne odstawienie go do sądu, komisarz po ponownej całogodzinnej deliberacyi z p. starostą „tymczasowo wypuścił go na wolną stopę“.

Ojcu posła Nowakowskiego, który przerażony wkrótce potem wiadomością o aresztowaniu syna przybył do starostwa, starosta oświadczył, że syn jego aresztowany był „za nieposłuszeństwo“, ale został natychmiast wypuszczony. Aresztowanie to zrobiło w całym powiecie wśród ludu ogromne wrażenie i oczywiście wręcz przeciwne, niż tego pragnęła władza. Sprawa ta oprze się niezawodnie o najwyższe instancye. Władze polityczne muszą się raz przekonać, że służba ich połączoną jest z osobistą odpowiedzialnością i że ustawy są nie po to jedynie, by były w dowolnych dozach wykonywane, lecz po to, by były przez wszystkich zarówno szanowane.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Nowe utwory Junoszy.

(Klemens Junosza: Synowie pana Marcina, powieść wiejska. druk J. Zawadzkiego w Wilnie 1896, str. 276. Z papierów po nieboszczyku Czwartym. Warszawa, nakład Czajkowskiego, 1896, str. 168. Przy kominku, obrazki i opowiadania, Warszawa. nakład Dubowskiego i Gajewskiego, 1896, str. 281.)

W niedługim stosunkowo okresie lat dwunastu, tj. od r. 1884, kiedy się ukazał pierwszy zbiorek opowiadań pt. „Z mazurskiej ziemi“, Klemens Junosza Szaniawski zajął w najnowszej beletrystyce polskiej stanowisko wyjątkowe, niemal naczelne. Chę-

---

wiła wstąpić do klasztoru. Dawniejszy zarządca kupił dobra; po sprzedaży dostało się każdej córce dwadzieścia tysięcy rubli. Starsze siostry wróciły do swego dawniejszego życia, Wiera znalazła się sama w świecie swobodna, od nikogo niezależna; nie namyślała się długo, pojechała do Petersburga szukać sposobności, gdzieby działalność swoją rozwinąć mogła.

IX.

W pierwszym czasie spotkała Wierę same rozczarowania. Przekonała się, że być pożyteczną, jest o wiele trudniej niż to myślała. W jej rozumieniu być pożyteczną, znaczyło pracować samej nad zniszczeniem despotyzmu i tyranii, albo popierać tych, którzy w tym kierunku pracują. Nie rozumiała, że można być użytecznym, używając bardziej prostych środków. Ale do kogo miała się zwrócić po stosowną pracę? Rozmowy jej z Wasylcewem nie przygotowywały do żadnej określonej działalności; obracały się one zawsze w zakresie abstrakcyi i ideału. Dzięki Wasylcewowi przeczytała Wiera mnóstwo rewolucyjnych broszur. Wasylcew sam przedstawił jej w sposób wstrząsający obraz okropnej nędzy, w jakiej ludzkość żyje, a przyczyną tego wszystkiego był fakt, że teraz podstawą życia jest ucisk i konkurencya, a nie swoboda i dobrowolna umowa. Nie jeden raz mówili o tych męczennikach, o tych wszystkich współczesnych bohaterach, równości, którzy poświęcali życie swoje i szczęście za świętą sprawę.

Wiera ukochała tych bohaterów, płakała nad ich losem, ale w żadnej z tych rozmów, nie wspomniano o tem, co Wiera robić powinna, aby się stać pożyteczną sprawie.

W latach, które nastąpiły po uwięzieniu Wasylcewa, rozmyślała często o tem. Zawsze gryzła ją myśl o najbliższem zadaniu; należało zerwać z rodziną, wyjść z tego ciasnego koła, w którem życie swe spędzała. Jej nieznajomość rzeczywistego życia była tak wielką, że wyobrażała sobie, iż nihiliści są jakiemś zorganizowanem stowarzyszeniem, pracującem według określonego planu, dążącem do jakiegoś wyraźnego celu.

Nie wątpiła też, że, przybywszy do Petersburga, łatwo dostanie się do ogniska tej agitacyi i bezzwłocznie zostanie zaciągniętą do tej wielkiej podziemnej armii i otrzyma w niej miejsce, może skromne, ale pewne i określone. Takie były jej marzenia przez te lata. Teraz w Petersburgu jest zupełnie panią siebie, może robić co jej się podoba. I?... Cel jej jest tak niejasny, jak przedtem. Nie wie do kogo się udać, nie umie nawet odszukać rzeczywistych nihilistów. Było to dla niej wielkiem rozczarowaniem, gdy się dowiedziała, że żadnego z nich nie znam, że nawet wątpię o istnieniu dobrze zorganizowanej party nihilistów w Petersburgu. Spodziewała się ona czegoś lepszego, poradziłam jej jednak, żeby tymczasem w oczekiwaniu odpowiedniejszej jakiejś działalności — zapisała się na wykłady przyrodnicze. Właśnie otwarto wtedy kursy dla kobiet.

Posłuchała mnie, zaczęła uczęszczać na wykłady, ale umysł jej nie był w tym kierunku należycie przygotowany, nie mogła zrównać się z koleżankami swemi, nie umiała przejąć się ich interesami. Koleżanki te były to przeważnie młode dziewczęta, pracowały gorliwie, mając jasno określony cel przed oczyma. Wszystkie pragnęły pozdawać egzaminy jak najprędzej, aby otrzymawszy miejsce nauczycielek, módz żyć z własnej pracy.

Wszystkie ich myśli koncentrowały się teraz na studyach, wykłady, profesorowie, praktyczne zawody, to było treścią ich rozmów. Nie cierpiały wcale na „Weltschmerz.“ W wolnych godzinach chętnie się zgromadzały razem, a gdy była potemu sposobność, tj. gdy się zebrało trochę studentów, nie mogły się wstrzymać od tańców i kokieteryi.

Wszystko to nie pociągało natury tak marzycielskiej, jak Wiera. Nie dziw więc, że chociaż im często pomagała swoją sakiewką, trzymała się od nich zdaleka, uważając je za dzieci.

Także studya nie zadawalniały jej bynajmniej.

— Jeszcze będzie czas zajmować się nauką — myślała — trzeba wprzód spełnić najważniejszą część zadania.

— Nie rozumiem — mówiła raz do

tnie przyznałby się do niego nawet Kraszewski, gdyby wstał z grobu. Nie zrywając się do wysokich orlich lotów, nie kusząc się o wykradzenie tajemnic przyszłości dalszej, nie wybiegając po za widnokręgi spraw domowych — lokalnych, bieżących, autor „Syzyfa“, „Panów braci“, „Na zgliszczach“, „Pająków“ i dobrej setki pomniejszych zarysów i nowel, pruł zagon ojczysty, aby dalej, aby dalej.... czasami nieco głębiej, czasami trochę płyciej, stosownie do natury gleby, ale zawsze z tem mocnem przeświadczeniem rolnika, gospodarza, który wie, że plony — w najgorszym razie, nie chybią wszędzie jednocześnie na każdym kawałku mniej więcej gorliwie uprawionego gruntu. Zeschnie siejba w jednem miejscu, wymoknie w drugiem, ale przecież nie wymoknie tam, gdzie ma zeschnąć, ani nie zeschnie tam, gdzie zazwyczaj wymaka. Rachunek prawdopodobieństwa zrobiony był najprawidłowiej, przeto i nadziejom na nim osnutym nie zaniedbał Bóg pobłogosławić. Zbiory lat ostatnich nietylko nie ustępują dawnym pod względem ilości, ale wykazują znaczny, niezaprzeczony postęp w gatunku, doborze i rozmaitości ziarna. Gdyby tak jeszcze i rzeczywistość równolegle i równomiernie dopisała progresyi agronomiczno-powieściowej!... Ale tego nikt żądać nie może od najbieglejszej bodaj kombinacyi romansopisarskiej.

„Synowie pana Marcina“ demonstrują ten pewnik w sposób nie pomału pouczający. Jest to właśnie cel owego licha, które niegdyś w „Syzyfie“ zgnębiło biednego pana Jana ze Stawisk.

W fatalnych warunkach, przytłaczających własność ziemską, większą i średnią, żadna zmiana na lepsze nie zaszła. O samem położeniu ojca rodziny — pana Marcina, również nic innego powiedzieć nie sposób nad to, cośmy już przed laty słyszeli o położeniu pana Jana. Wstawał do dnia, późno w nocy szedł na spoczynek, garstce słomy zmarnować się nie dał, całości mienia pilnował jak źrenicy w oku, oszczędność i punktualność posuwał do ostatecznych granic, zajęty był wyłącznie wychowaniem dziatwy i myślą zabezpieczenia starości od zawieszonej nad głową groźby wydziedziczenia i tułactwa... I cóż — wypłynął. Dla czegoż Jan ze Stawisk utonął? — Alboż nie znał uniwersalnego owego środka chirurgicznego, który Marcinowi pozwolił jedną połowę majątku ocalić kosztem drugiej, wyślizgnąć się z pazurów lichwy krwiożerczej, ożenić się z panienką ubogą wprawdzie, lecz ukochaną, synom dać edukacyę gruntownie praktyczną i wyjść pod koniec — nie z torbami, lecz ze sporym trzosem gotowizny... Wiedział owszem pan Jan o tem panaceum, trąbiły wszak o niem dzienniki już i za jego czasów; jeśli zaś go nie zażył, to chyba dla tego, że parcelacya wymaga znajomości geodezyi, której nie posiadał, o której miał wyobrażenie fałszywe — homeopatyczne, zgodne zresztą z biedą, doskwierającą mu na łuty, na uncye. Pytania co? jak? zkąd? od kogo? kiedy? — gryzły go, według zapewnienia Junoszy, niby owad natrętny, brzęczały, rzucały się do oczu; świdrowały czaszkę o każdej dnia porze, nad ranem, w południe, pod wieczór, o północku. W głowie miał taki zegar, który mu biedę wyklepywał co minuta, co sekunda. Ktoby pana Jana chciał był pocieszać obietnicą, że za rok, za dwa, będzie lżej — parsknąłby mu w żywe oczy. Rok? dwa? — ależ powaryowali ludzie: dziś płacić trzeba ratę Towarzystwu, jutro rozpoczynają się żniwa, pojutrze zjeżdża komornik. Na nieprzyjaciela trzeba się wybierać z grubszym — nadewszystko zaś z dłuższym kijem... Alboż nie prawda? — Prawda. Część pierwsza mechaniki — jako racyonalna — jest więc z pewnością bez zarzutu; czy zaś część druga — zastosowawcza — istotnie posiada wartość, jaką jej przypisuje Junosza, odpowiedziećby na to mogły jedynie osoby bezpośrednio zainteresowane. Z naszego teoretycznego punku widzenia zapewnić tylko możemy, że na przerzuceniu kwestyi ekonomicznej z pod bieguna pesymizmu (w Syzyfie) ku biegunowi optymizmu (w „Synach p. Marcina“) artyzm zyskuje co najmniej 25%; temat bowiem drugi nieskończenie więcej niż pierwszy, odpowiada usposobieniu Junoszy i naczelnym przymiotom jego literackiej twórczości: 1) kompozycyi jasnej, logicznej, prosto i najczęściej bez intrygi, zmierzającej ku wytkniętemu z góry rozwiązaniu; 2) dykcyi swobodnej, anegdotycznej, barwnemi epizodami przeplatanej, ujętej w formy odręcznego, zaniedbanego nawet niekiedy, lecz dziarskiego, zajmującego dyalogu.

Szczerze współczując niedoli człowieczego istnienia, zaprzątniętego głównie różnorodnemi kwestyami doczesnemi — przewozowemi, młynarskiemi, piekarskiemi, kramikowemi — Junosza nie zapomina, że są strefy, zkąd na nas spływają mniej mętne źródła zadowolenia wewnętrznego, i gdzie duch ludzki doznawać może rozkoszy bezinteresowniejszej nieco — bez zagadnień macznych w zanadrzu, bez wysmarowanych pożytkiem dłoni, bez pieniężnej nagrody na wierzchołku celowego słupa; wycieczkom atoli w tę krainę oderwania i ideału autor poświęca zazwyczaj mało miejsca, — tyle zaledwie, ile dobry przeciętny mieszczuch warszawski przeznacza w tygodniu godzin na przechadzkę po wystawie hygienicznej, to jest dwa, trzy feljetony najwyżej. Z takich to przygodnych, ulotnych szkiców składa się w większej części książka „Przy kominku“, obejmująca opowiadań jedenaście, a z dołączeniem osobno wydanego obrazka „Z papierów po nieboszczyku Czwartym“ — okrągły tuzin. Całość tworzy mieszaninę przyjemną, podaną w dozach szczupłych, ale zrównoważonych, rozsegregowanych odpowiednio do ogółu stosunków naszych społecznych, w których chłopi, żydzi, szlachta, grupują się w kolumny dotąd najgęszcze, najtwardsze, wydzielające z siebie lub wchłaniające w siebie nie stężałą, dokoła nich wirującą materyę kosmiczną naszego proletaryatu wiejskiego i miejskiego (wyrobniczego, służebnego, przemysłowego, urzędniczego, piśmienniczego, artystycznego itd.) Podołać temu wszystkiemu naraz Junosza nie mógł, pomimo rozległej skali swych zdolności postrzegawczych i zasobności swych doświadczeń życiowych; wszakże i to na co się po dziś dzień zdobył, podziwiać każe jego zabiegliwość, pracowitość i wszechstronną niemal zdolność oryentowania się wśród tysiącznych naszych zaczynów i niedoczynów klasowych i klasyfikacyjnych, na które ciężko, niemal wyłącznie rozkładowo oddziaływają powszechne wpływy klimatyczne, atmosferyczne, geograficzne, czy jak tam sobie nazwać je zechcemy. W „Nieboszczyku Czwartym“ podany jest w streszczeniu pamiętnik wykolejonego nauczyciela

---

mnie — jak można wpośród tej nędzy, otaczającej nas dokoła, pod wrażeniem tych cierpień, dręczących ludzkość, znajdować przyjemność w oglądaniu oka muchy pod mikroskopem, a przecież nasz profesor zajmował się tym wyższym przedmiotem przez całą godzinę.

Gdy się przekonałam, że Wiera nie ma zamiłowania do nauk przyrodniczych, radziłam jej, aby się zajęła ekonomią polityczną. Ale wykłady z ekonomii nużyły ją, żadnej nie przynosząc korzyści. Przystępując do tych studyów, była z góry przekonaną, że aby zamierzony cel — szczęście ludzkości — sprowadzić, należy podzielić wszystko między siebie, znieść własność i ucisk. Uważała to za prawdę niezaprzeczoną, o której wątpić nie było można, dla której dowodu nie było potrzeba.

— Pocóż więc łamać sobie głowę nad temi wszystkiemi kwestyami, płaca robotnicza, procenty, kredyty i mnóstwo innych nudnych zawikłanych rzeczy, które tylko rozum mięszają i odciągają ludzi od wyższych celów. W naszych czasach żaden uczciwy człowiek nie ma prawa zapytać się siebie: „jaki cel stawiam memu własnemu życiu?“ On powinien się tylko zająć wyborem najkrótszej drogi, którąby go zawiodła do jednego, ogólnego, z góry określonego celu. Dla Rosyanina celem tym może być tylko rewolucya społeczna i polityczna. A na te pytania nie daje ekonomia polityczna żadnej odpowiedzi, więc pocóż czytać i uczyć się jej?...

Tak dysputowała Wiera ze mną, a przecież może się to wydać dziwnem, byłyśmy serdecznemi przyjaciółkami. Schodziłyśmy się coraz częściej, a w naszych rozmowach coraz widoczniejszą była osobista sympatya, tłomaczyłam sobie to rzadkim urokiem, właściwym Wierze. Jej rysy twarzy były tak szlachetne, jej ruchy tak wdzięczne i harmonijne, tyle szczerości i naiwności było w całej jej istocie, że patrząc na nią, rozkoszowałam się.

Debatować z nią, było niepodobieństwem, żałowałam bardzo, że umysł jej był zamało rozwinięty — dlatego pozostała ona zupełnie obojętną na zdobycze współczesnej cywilizacyi. Wiera przenosiła mnie nad wszystkich znajomych, nie mogła atoli zrozumieć, że się zajmuję wyłącznie matematyką. Zdawało jej się; że matematyk jest dziwakiem, zajmującym się rozwiązywaniem szarad liczbowych. Można mu tę manię wybaczyć, gdyż jest ona nieszkodliwą, ale trudno jest wstrzymać się od pewnego lekceważenia tej słabości. Tak patrzyła każda z nas na drugą z pewnej wysokości, ale to nie mąciło naszej przyjaźni.

Tymczasem czas ubiegał a Wiera była coraz niecierpliwszą, coraz niespokojniejszą, widząc, że nie zrobiła jeszcze ani jednego kroku do osiągnięcia zamierzonego celu. Zdrowie jej cierpiało z tego powodu, że jej życzenie poświęcenia się sprawie, nie znalazło zadośćuczynienia; rumieńce znikły z jej twarzy, a wyraz jej szafirowych oczu stawał się z każdym dniem smutniejszym, bardziej zamyślony. Przypominam sobie, jak raz w zimowy poranek przechadzałyśmy się na Newskim Prospekcie. Niebo było czyste, a słońce rozlewało dokoła swoje jasne, jaskrawe promienie. Świat wyglądał tak, jak owe pełne światłości królestwo śniegu, o którem opowiada bajka. Srebro iskrzyło się w szybach wystawowych, srebro połyskiwało pod naszemi nogami i rozpryskiwało się naokoło nas w drobniutkich blaszkach. Tak wiele orzeźwiającego ma w sobie czyste zimowe powietrze, że dodaje otuchy do życia.

Pomimo szerokich chodników posuwałyśmy się z trudem, tak wiele było przechodniów; mężczyźni, dzieci, kobiety z jasnemi rumieńcami na twarzach, z brodą ukrytą w futra cisnęli się przed nami, za nami i wokoło nas.

— Gdy pomyślę — rzekła nagle Wiera do mnie — że może między tymi ludźmi znajdują się ci, których właśnie szukam... może niejeden z nich mógłby mi właśnie powiedzieć, co tak bardzo wiedzieć pragnę! Czy wiesz, że za każdym razem, gdy spotykam jakiegoś sympatycznego człowieka, gotową jestem zatrzymać go i zapytać się czy nie jest jednym z tych...

— No proszę, nie przeszkadzaj sobie — odpowiedziałam spokojnie — patrz naprzy-

łaciny, Melchiora Kurkiewicza, który w boskiej mowie Liwiuszów i Cyceronów wyćwiczył się jeszcze za czasów, kiedy w szkołach X. przełożonym był ks. prefekt Budziłowicz (wszak tak: Budziłowicz?), a Juliusza Cezara komentował prof. Klepalski. Zaproszony na wieś do obywatelskiego domu Kwiecińskich z Sędziwej Woli zatabaczony Kurkiewicz doznał najpierw oszałamiającego zdumienia, następnie olśniewającej, niebotycznej radości, skoro się tylko przeświadczył, że łaciny uczyć się pragnie ośmnastoletnia urocza Wandzia, jedyna córka starego, przykutego do fotelu paraliżem nogi dziedzica Woli (50 włók takiej ziemi, że choć cebulę sadź od skiby do skiby, las jak drut, łąki nadrzeczne, z których siano panny warszawskie w tyfusie jeśćby mogły, jezioro, inwentarz, budynki, a podobno stary i kapitalik ma — zapewniał przy umowie z Kurkiewiczem rządzca Biernacki)... O jakże marne, zwodnicze i śmiechu godne są wszystkie te uniesienia nasze nad nauką, umiejętnością, genialnością — jeżeli taka nawet zacna, dobra, kochana Wandzia w kłamstwa się bawi! Bo i cóż się to okazało? Oto przywiązanie dziewczyny do supinów i gerundiów było najwierutniejszem zmyśleniem: nauczyciela żądała ona jedynie po to, ażeby przy chorym ojcu wraz z proboszczem i p. Dukszneren był dopełnieniem „czwórki“ niezbędnej dla dobrej partyi winta... Figiel, dziwactwo, igraszka ślepego trafu — ot co wszechwładnie rozrządza losami mędrców i potentatów wiedzy. Utrzymują niektórzy, że Junosza nie jest głębokim myślicielem, filozofem, psychologiem. Oho, oho! odczytajcie uważnie w „Przy kominku“ jego człowieka o skrzypiących butach, jego pierwszy dzień miodowego miesiąca, jego fałszywą dziesiątkę, jego babską duszę; posłuchajcie, jak dalece przyczynowo i skutecznie — w tryumfie stryjenki, w gospodarskim ranku, w śnie na kwiatach — kartują się zdarzenia, projekty, wypadki na małym świecie — a zastąpi to wam wielką socyologię i historyozofię Wiców, Herderów, Bucklów, Spencerów...

Plecionkę tę wszechrzeczy odgadła zresztą przed wiekami jeszcze ciemna baśń gminna, której Junosza jest znawcą, wielbicielem i często mistrzem nienaśladowanym. Przypomnijcie sobie np. ową deterministyczną klechdę o pyrdce, która nie chciała do chaty iść, o psie, który nie chciał na pyrdkę szczekać, o kiju, który psa nie chciał bić, o siekierze, która nie chciała kija siekać, o kowalu, który siekiery nie chciał narychtować, o powrozach, które kowala nie chciały krępować, o szczurach, które z powrozami nie chciały wojować — dopóki na szczury nie sprowadzono kotów... wtedy jak zaczną koty szczurów gnieść, jak zaczną szczury postronki jeść... pies wreszcie jak zacznie pyrdkę gryść, — pyrdka musiała do chaty iść...

Jest, — niewątpliwie jest sens w powiastkach Junoszy — i psychologiczny i filozoficzny, i socyologiczny, tylko że wysnuwa się on na pozór dość ociężale, chropowato, rubasznie, a majacząc niby trzy po trzy, — rozpływa się w końcu jak we mgle wiosennej, rozprasza się i wikła jak w pajęczynie babskiego lata — w ironii wiotkiej, słodkiej, wstrzemięźliwej, bojaźliwej... Jeśli to w humorystyce polskiej jest wynik i odzwór ogłady towarzyskiej, uwzajemnionego z nią obcowania literackiego — w takim razie wieczne odpocznienie gustom, wytrawności, strawności i żołądkowi narodowemu: wypadnie chyba odtąd baraninę cukrzyć i śledzie w miodzie marynować.

Królowa-Niewolnica.

Nowe prądy w literaturze, co na swej fali przyniosły żądanie wyzyskania innego tematu: „kobieta“ — harmonizują z prądami, które żądają dla kobiety innego stanowiska wśród społeczeństwa. Kwestya emancypacyi kobiety, będąc kwestyą ekonomiczną, rzuca wyraźny refleks w literaturze.

Kwestya emancypacyi kobiety jest zbyt ważną, aby wobec niej zabierać tu zasadnicze stanowisko: dość jest skonstatować jej wynik.

Zadanie kobiety w społeczeństwie było dotychczas praktycznem zastosowaniem formuły ekonomiczno-społecznej: Ohne Dienstboten — keine Kultur. Zależność kobiety uważaną była za warunek cywilizacyi. Zadaniem jej było stworzyć jaknajlepsze, jaknajdogodniejsze warunki dla tych, co cywilizacyą na swych barkach nieśli w górę — i nic więcej. A gdy padło z ust jej zapytanie, dokąd idą, dla czego jej nie pozwolą brać udziału w uczcie duchowej — usłyszała odpowiedź, że równowaga społeczna wymaga pewnych ofiar z jej strony — zrzeczenia się swej samowiedzy czynu: rola jej bowiem miała być bierną.

A jeśli życie długotrwałemi zgłoskami wyryło w księdze przeznaczeń kobiety słowa, dyszące bezdenną otchłanią ofiar dla nieznanego jej dotąd bóstwa: cywilizacyi, — to te same słowa brzmią echem do dziś dnia w literaturze.

Kobieta w literaturze była przystosowaniem tej formuły do najbardziej emocyonującego tematu — miłości. Bez miłości — nie było poezyi i piękna w literaturze, kobieta zaś była naczyniem tej miłości — Dienstbote der Liebe.

Cóżby się stało z tysiącem tematów miłosnych, wyśpiewanych na różne tony, cóżby się stało z poezyą, sztuką, jeśliby „on“ — bohater — nie miał do kogo wzdychać, przed kim klękać, dla kogo walczyć i przy kim odpocząć!... Cóżby się stało z temi cudnemi spowiedziami miłości, gdy „jego“ serce przepełnione uczuciem bez granic, otworzyło się radośnie dla całego świata i światu pozwoliło zajrzeć we wnętrze swej istoty. — Bez Heleny nie byłoby wojny Trojańskiej, bez Małgorzaty — Fausta; a biedny Werther potrzebował swej Lotty, aby móc cierpieć, jak cierpiał. On nie dla tego cierpiał, że ona była, lecz ona dla tego była, aby on mógł cierpieć.

A gdy się Adamowi nudziło, stworzył Pan Bóg Ewę z żebra jego, aby go mogła rozweselić: — jest to typowy przykład, którego analogie znajdują się wszędzie, mniej lub więcej widoczne. Tym „panem Bogiem“ był zawsze artysta, który tworzył dla „niego“.

I ta potrzeba więc, aby kobieta była zbiornikiem uczuć „jego“, aby go emocyonowała, aby się mógł dla niej pojedynkować lub zabić, zakreśliła pole dla jej indywidu-

---

kład ten oficer z błyszczącemi epoletami, albo ów wzorowy adwokat, który ci się z taką pewnością przygląda przez swój monokl — czy nie zaczniesz od tych. Ich powierzchowność zapowiada wiele.

Wiera wzruszyła ramionami i westchnęła głęboko. Z końcem zimy zdarzyło cię coś, co cierpienia i męki Wiery zakończyło i dało jej możność znaleźć to, czego szuka. Już z początkiem stycznia rozeszła się wieść, że w wielu miejscowościach w Rosyi udało się rządowi wykryć socyalistyczny spisek. Pogłoski te zostały wkrótce potwierdzone: w rządowej gazecie ogłoszono sprawozdanie, w którem zawiadomiono wiernych poddanych, że władzy udało się schwycić i uwięzić siedmdziesięciu pięciu przestępców politycznych.

Po stłumieniu powstania polskiego, po nieudanym zamachu Karakozowa i zesłaniu Czernyszewskiego, rozpoczął się w Rosyi okres względnie spokojny. W czasie tym było coprawda niemało podejrzanych; więziono i wysyłano na Sybir jak dawniej, ale nie było w owym czasie ogólnego ruchu. Epoka systematycznych zamachów nie rozpoczęła się jeszcze, właściwy charakter rewolucyjnej propagandy zmienił się istotnie, zdaje się, że za działaniem wpływu zagranicznego.

Dawniej zajęci byli wszyscy myślą o politycznych reformach i zniesieniem absolutyzmu, teraz zwrócono się do zadania społecznego. Inteligencya rewolucyjna przekonała się, że osiągnięcie istotnych rezultatów jest niemożliwe, jak długo lud pozostaje w ubóstwie i ciemnocie.

Aby cośkolwiek osięgnąć, należy iść między lud, zbliżyć się do niego „sprościeć.“ Ludzi tej generacyi nie można lepiej przedstawić, jak to uczynił Turgeniew w swoich „Nowinach.“ Do liczby tych naiwnych, a bynajmniej nie zbrodniczych propagatorów, należeli ci uwięzieni, o których co dopiero wspomniałam. Nie używali oni ani bomby, ani dynamitu. Większa część z pomiędzy nich pochodziła z dobrych domów, jedyną ich zbrodnią było to, że poszli między lud.

Przebrali się w suknie wiejskie, chodzili jako robotnicy do fabryk z zamiarem propagowania swych idei między klasą pracujących, ale najczęściej działalność ich ograniczała się na zachodzeniu do szynków, na wygłaszaniu mów rewolucyjnych i rozdzielaniu broszur między chłopów.

Nie znając zwyczajów ludu, nawet jego języka, zabierali się propagatorowie tak niezręcznie, że po pierwszych próbach zostawali wydawani policyi przez właścicieli, przez szynkarzy, nierzadko nawet przez samych chłopów.

Choć praktyczne rezultaty ich działalności były tak małe, uważał rząd za konieczne ukarać działaczy surowo w nadziei zakończenia nazawsze wszelkiej propagandy. Wyszedł rozkaz, aby uwięziono wszystkich, których tylko ująć można było. Aby wzniecić podejrzenie, wystarczyło przebrać się w suknie chłopskie. Aresztowanych odesłano do śledztwa i do rozprawy do Petersburga. Chociaż większa część była sobie nawzajem nieznajoma, oskarżono ich o jedną zbrodnię. Władza chciała olśnić energią, surowością i przenikliwością. Właściwie oddano sprawę tę nie pod sąd przysięgłych, ale specyalnej komisyi, wybranej przez rząd; wolno jednak było każdemu z oskarżonych wybrać sobie adwokata, a rozprawa miała być toczoną przy drzwiach otwartych.

Jak się zdawało rząd nie wiedział tego, że w takim kraju, jak Rosya, z powodu jego wielkich rozmiarów i braku swobody prasy, polityczne procesy są najlepszym środkiem propagandy. Wiele młodych osób nie znalazłoby nigdy możności „służenia sprawie,“ gdyby nie polityczne procesy, które im od czasu do czasu wskazywały, gdzie mają szukać właściwych nihilistów.

W ogóle wzbudzali oskarżeni w rozmaitych kołach sympatye. Chociaż się z nimi nie komunikowano, gdyż siedzieli zamknięci za kratą okazywano jednak ich krewnym — i przyjaciołom wielką życzliwość. Między współczującymi i cierpiącymi zawiązuje się przyjazny stosunek, budzi się ufność. Jedni wspierają drugich, pomagają sobie nawzajem. Nie można się zatem dziwić, że po każdym politycznym procesie powtarza się

alności; z poza linii zakreślonej nie wyszła: — była miększą i uległą, jeśli „on“ wymagał, była kokietką, zazdrosną, rozpustną, była jędzą złośliwą, wyrafinowaną pobożnisią, była kokotą lub naiwnem dziewczęciem, mieniła się różnemi barwami jak kameleon, na jedno skinienie „jego“ — lecz sobą nie była nigdy. Była dodatkiem, warunkiem — była przeszkodą lub pomocą — lecz samoistnie nie żyła nigdy, a miarą jej był zawsze stosunek do niego.

„On“ ją za to ubóstwiał lub przeklinał, zabijał lub tarzał się w prochu przed nią. Jak niewolnicę w haremie ubrał w złotogłowia i perły, posadził ją na tronie, poddawał się sterowi jej miękkiej, jedwabnej dłoni, nazywał kapłanką miłości, dziecięciem Bogów wybranem — lecz otoczył ją dokoła kratami, — dał jej królestwo, lecz uwięził na tronie.

A ona? — Przesuwa mi się w tej chwili szereg typów kobiecych — od tworów nieśmiertelnego Homera aż do ostatnich czasów. Homer ją najlepiej rozumiał, a choć ludy o nią walczyły lat dziesiątek, on naszkicował Helenę podobnie jak i brankę Bryzeidę, jak i tyle innych — wszystkie fizycznie piękne, dorodne, ponętne dla oka jako kochanki, obiecujące jako matki — karmicielki przyszłych pokoleń. Każdą z nich można by mierzyć skalą miłości, jaką z niej wyssać można — i skalą siły żywotnej jaką tchnąć może w swe dziecko.

Od Homera aż do naszych czasów była kobieta kochanką, — rola jej zamieniła się w wielu punktach, w zasadniczym rysie pozostała jednaką. Dziś życie jej oddzielnem zaczyna płynąć łożyskiem, a ta doza samoistności, którą sobie już wywalczyć zdołała wskazuje kierunek dalszego rozwoju. Zwrot ten oznacza wiele, — przedewszystkiem przysporzy jeden typ więcej do tej garstki nowych postaci, których kontury dopiero zaczynają być widzialne z poza mgły porannej.

Możemy być pewni jednak, że typ ten mało będzie podobnym do tej „emancypantki,“ jaką dziś widzimy. Ta dzisiejsza ma w sobie dużą dozę karykaturalności, jest wytworem epoki przejściowej, pierwszym owocem reakcyi i jako taka, jest we wszystkiem krańcowa. Zanadto apeluje do uczucia, zanadto jest rewolucyjną, odwrócić chce odrazu ład społeczny, cofnąć go wstecz niejako, aby odszkodować się za lata niewoli, apostołuje z fanatyzmem herezjarchów w kwestyi, którą ekonomiczna konieczność pcha do rozwiązania, — i patrzy zarówno na swoje dzieło jak i na wrogi obóz przez szkło powiększające. Przez to niejedno z jej zwycięstw jest fikcyjnem a niejedno niebezpieczeństwo urojonem.

Rzeczywistość nie daje po dziś dzień pozytywnych podstaw do odgadnięcia tego typu. Stanowisko kobiety wyemancypowanej w społeczeństwie nie jest jeszcze dość wyraźnem. Niewątpliwie jednak wiele, zawsze wiele piękna ukrywa się za mgłą: sytuacya kobiety, jako jedwostki samoistnej, stojącej u steru swych losów dostarczyć musi wobec istniejącego porządku społecznego wiele tematów z któremi myśl estetyka — artysty się zbrata, — i wiele też takich po których zaśliźgnie się ze zgrzytem, jak po szkle żelazo; podczas gdy tak się zmienia postać kobiety — kochanki, — postać kobiety matki pozostaje niezmienną. Jest sfera pewna w życiu jednostek, po nad którą przesuwają się wszystkie zmiany organizacyi społecznej, nie wpływając na zmianę jej charakteru: do sfery tej należy miłość macierzyńska. W tej sferze spotyka się życie nie z organizacyą dowolną, ale z siłą pierwotną, płynącą bezpośrednio z naturalnego fizycznego zespolenia się matki z dzieckiem. Miłości tej obcem jest wszelkie wyrafinowanie, i wszelka analiza, — jest to coś, co, jak egoizm, trzeba uznać na siłę nieskomplikowaną, pierwiastkową, za żywioł, który nie obliczać — lecz z którym się liczyć trzeba.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

BADANIA NAUKOWE.

Reforma studyów lekarskich.

(Dokończenie).

Medycyna jest wiedzą opierającą się na naukach przyrodniczych — dla tego prof. Cybulski jest zwolennikiem tego, by nie wyrzucać nauk przyrodniczych z programu wykładów dla medyków, jak to uchwaliła ankieta wiedeńska. Nauki przyrodnicze są wprawdzie wykładane na naszych uniwersytetach w sposób nieodpowiedni, nie wynika jednak z tego, aby je wyrzucać, bo one dają jedyny materyał do nauczenia się obrazowego myślenia.

Każde badanie lekarskie, choćby najprostsze, wymaga dokładnej obserwacyi, umiejętnego wnioskowania i racyonalnego sądu — wymaga nietylko bystrości wzroku, słuchu i dotyku, ale także i pewnej zręczności. Ale te wszystkie właściwości naszych zmysłów musimy dopiero wykształcić, umysł nasz musimy wyćwiczyć w pewnych kategoryach myślenia. Najlepszą szkołą wyćwiczenia się w myśleniu biologicznem są nauki przyrodnicze — one dają nam możność zdobycia owego myślenia lekarskiego, przy łóżku chorego nam potrzebnego. Dla tego jedynie za wyrzuceniem mineralogii głosowałby prof. Cybulski, zoologią i botanikę radzi zatrzymać.

Także stanowczym przeciwnikiem ograniczenia studyów fizyki i chemii jest prof. Cybulski. Obie te nauki niezmiernej są dla lekarza doniosłości. Wszakże cały kierunek, w którym obecnie dąży rozwój medycyny jest tego rodzaju, iż podstawą dla niego przeważnie jest chemia. Nie idzie o to, aby lekarz umiał wykonywać dokładne rozbiory chemiczne, lecz aby był w stanie zrozumieć wszystkie te sprawy, które zachodzą w ustroju, aby badać umiał przynajmniej wszystkie te wydzieliny i wydaliny, które ustrój wytwarza, a które w klinikach tak

---

to, co bajka mówi, że z jednego olbrzyma robi się dziesięciu.

I na Wierze okazał się wpływ politycznych procesów. Na pierwszą wiadomość o rozprawie, przestała myśleć o czemkolwiekbądź innem. Każdy numer gazety odczytywała z uwagą. Znała nietylko imiona oskarżonych, ale i ich obrońców i skorzystała z pierwszej sposobności, aby się poznajomić z krewnymi oskarżonych. W ten sposób otwarło się dla niej pole działalności, o jakiej marzyła; 75 rodzin, pogrążonych w nędzę i rozpacz, potrzebowało jej pomocy, mogła im pomagać czynnie, mogła służyć „sprawie,“ a przez to zbliżyła się nagle do bliskich sobie uczuciem i przekonaniami. Rozumie się, że zajęta swoimi nowymi przyjaciółmi, przestała uczęszczać na wykłady i nie przychodziła do mnie. Gdy wpadała na chwilę, to tylko wtedy, kiedy potrzebna jej była moja pomoc w celu wsparcia tych ludzi tak jej drogich. To musiałam zbierać składkę na jedną z tych rodzin — to znów umieścić gdzieś jakieś dziecko pozostałe, to trzeba było prosić jednego z najsławniejszych adwokatów, aby przyjął obronę któregoś z nich — słowem Wiera nie szczędziła trudów ani swoich, ani obcych. Z końcem kwietnia zostało śledztwo ukończone i rozpoczęła się rozprawa. Od szóstej z rana tłoczył się tłum ludzi do sal sądowych. Tylko za biletami można było wejść na salę: ci, którzy biletów nie mieli, zatrzymywali się w korytarzach w nadziei usłyszenia czegoś, co się na sali dzieje. O wpół do dziewiątej zaczęto wpuszczać publiczność i nagle znalazłyśmy się w sali, między dwoma rzędami żandarmów, przyglądających się nam uważnie, jakgdyby chcieli skontrolować nasze prawo do biletów wstępu. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że publiczność składa się z dwóch kategoryi.

Jedni przyszli z ciekawości jak na rzadkie widowisko, byli to po większej części ludzie z towarzystwa, którym nie trudno było dostać bilety wstępu. Pomiędzy nimi można było dostrzedz panie, które już pierwszą młodość dawno przebyły! czarno ubrane, jak tego dobry ton wymagał, trzymały w rękach lornetki, lękały się widocznie stracić najdrobniejszego szczegółu tego dramatu. Ich ciekawość była tak naprężona, że dla jej zaspokojenia poświęciły zwyczaj późnego wstawania i naturalny wstręt do jakiegokolwiek zetknięcia się z ludem. Wszyscy ludzie tej grupy wyglądali jak wysocy urzędnicy, jedni, dla mundurów, inni z powodu orderów. W pierwszej chwili oczekiwali wszyscy, jakby w osłupieniu, ale wkrótce uroczysta cisza została zakłóconą, znajdowano znajomych, zamieniano ukłony. Uprzejmość panów znalazła wyraz w wyszukiwaniu najlepszych miejsc dla pań; powoli zawiązywały się rozmowy z początku szeptem, potem coraz głośniej. Gdyby się to nie było odbywało tak wczesnym rankiem wpośród gołych ścian i okien, na zwykłych drewnianych ławach możnaby było mniemać, że jest to towarzystwo zebrane w modnym salonie.

Oprócz tych widzów byli i inni, grupa ta składała się z przyjaciół i najbliższych krewnych oskarżonych. Smutne, wynędzniałe twarze, zniszczone suknie, ciężkie, ponure milczenie, spojrzenie pełne trwogi skierowane ku drzwiom, któremi mieli wejść oskarżeni — wszystko zdradzało gorzką rzeczywistość, smutne przeczucie strasznego końca.

Punkt o dziesiątej słychać zwykły okrzyk „sąd otwarty.“ Do sali wchodzi dwunastu senatorów, starcy, z których każdy ma więcej orderów, niż włosów na głowie; pomiędzy nimi spostrzedz można było wszystkie kategorye wysokich godności: obok dumnego, pewnego siebie urzędnika, uderza starzec niedołężny z obwisłą wargą i przygasłym wzrokiem. Nie spiesząc się bardzo siadali uroczyście na przygotowanych fotelach. Wtem otwierają się drugie drzwi i tym razem, prowadzeni przez żandarmów, wchodzą oskarżeni, jest ich 75-ciu.

Zbrodniarze mają dziwny wygląd, wychudłe ich twarze stanowią jaskrawy kontrast z ich młodością, najstarszy nie ma jeszcze 30-tu lat, najmłodszy ma dopiero 18-cie, wszyscy przywdziali lepsze ubrania — wyglądają uroczyście; widać między nimi młode, piękne dziewczęta, wzruszenie nadaje ich oczom połysk i pokrywa lica chorobliwym rumieńcem. Długie miesiące siedzieli

ważną stanowią podstawę wszelkiej dyagnozy. Gdyby nawet gruntowna znajomość chemii wymagała dwóch lat, to i tak — zdaniem profesora Cybulskiego — uczniowie żadnej nie ponieśliby szkody, bo nauka fizyologii, patologii ogólnej, a i szczegółowej w wysokim stopniu byłaby ułatwioną. Naukę tych wszystkich przedmiotów należałoby tylko w ten sposób zmodyfikować, aby osobno były wykładane dla adeptów medycyny — (nie jak dotąd wespół z studentami filozofii i farmacyi) — aby ściśle były przystosowane do potrzeb lekarzy i aby prowadzone były w ten sposób, aby uczeń nie tyle zdobywał znajomość tej lub innej nauki, ile bardziej kształcił swój umysł i zdolności obserwacyjne.

Reformy wymagają także nauki ściśle lekarskie i w pierwszym rzędzie anatomia, fizyologia, embryologia i histologia. Wykłady teoretycznej anatomii, trwające dotychczas przez 4 półrocza, ograniczyć należy do dwóch. Naukę histologii i embryologii zaliczyć należy do kursów obowiązkowych — oraz rozszerzyć ćwiczenia histologiczne. W wykładach histologii, embryologii i fizyologii należałaby na przyszłość tylko ograniczać do kwestyi ważniejszych, ogólnych. Wyliczanie bowiem całego szeregu zapatrywań, które długo zostaną jeszcze tylko hypotezami, nie prowadzi do celu, lecz sprowadzając zamęt w umysłach niekrytycznych, niweczą w nich zaufanie do całej nauki. Głównie tedy trzeba rozszerzyć zakres ćwiczeń praktycznych z tych dziedzin nauki, aby studenci nauczyli się obchodzenia ze skalpelem i mikroskopem, sporządzania preparatów histologicznych itd., ogółem nabyli tej zręczności, której wymaga zawód lekarski. Należy także rozszerzyć ćwiczenia fizyologiczne i to na oba półrocza drugiego roku medycyny. Lekarz przyszły powinien już w charakterze słuchacza przyłożyć rękę do badania funkcyi fizyologicznych organizmu ludzkiego w stanie prawidłowym, powinien nietylko teoretycznie o nich wiedzieć, ale umieć je obserwować *in vivo*.

Gruntownej reformie powinna uledz nauka przedmiotów praktycznych w klinikach naszych. W audytoryach naszych klinik spotykamy słuchaczy z różnych lat, obok nowicyuszów, którzy po raz pierwszy przekraczają progi przybytku tego, widzimy uczniów zapisanych już na kurs czwarty lub piąty kliniki lekarskiej. Cóż za korzyść mogą odnieść ci nowicyusze, gdy wywołani złożą „konsilium wspólnie ze „starszym kolegą“ przy łóżku chorego? Co najwięcej z powodu swej nieśmiałości i dowcipnych „naciągań“ profesora mogą wzbudzić wesołość w audytoryum — sami żadnych nie odnosząc korzyści. Przez dwa półrocza siedzą jakby na tureckiem kazaniu, nie mając pojęcia ani o sposobach badania, ani o celu tej lub innej metody leczniczej.

Aby uczniowie racyonalnie korzystać mogli z wykładów klinicznych, zachodzi potrzeba zaprowadzenia obowiązkowego porządku studyów. Najpierw powinni studenci uczęszczać na wykłady o fizycznem badaniu chorych i dyagnostyki lekarskiej; równocześnie mogą słuchać patologii ogólnej i teoretycznego wykładu patologii z zakresu chorób wewnętrznych i chirurgicznych. Dalej winni w czasie tym przerabiać anatomię patologiczną i studyować zmiany chorobowe anatomiczne *in cadavere*. Dopiero po obznajomieniu się z temi przedmiotami mogliby się zapisać na wykłady kliniczne, a i tu powinny zajść pewne modyfikacye. Przedstawienie chorych nie powinno być dziełem przypadku, ale profesor powinien pewien dział chorób uczniom wyłożyć, a potem dopiero przedstawić demonstracye na odpowiednich chorych. Materyału jest aż nadto, w braku takowego możnaby czerpać po za kliniką ze szpitali powszechnych.

Ambulatoryum mogłoby także z wielką korzyścią dla słuchaczy przez nich być wyzyskane — gdzie pod kierunkiem asystentów przyjmowaliby sami chorych, stawiali dyagnozę i oznaczali terapią. Do tego trzebaby przypuścić uczniów ostatnich dwóch półroczy, podzieliwszy ich na grupy, a korzyść byłaby tak wielka, że samo uczęszczanie na kliniki, mogłoby się ograniczyć do trzech semestrów. U chorych stałych powinni być uczniowie ordynaryuszami, podobnie jak to się teraz dzieje — powinno to jednak skrupulatniej być wykonywane niż dotychczas. Na klinice chirurgicznej winni nadto uczniowie ostatniego kursu wykonywać operacye w asystencyi profesora.

Stan ten nauk w klinikach naszych jest tego rodzaju, że uczniowie chcący zasiąść do egzaminów, zmuszeni są za drogie pieniądze brać kursy u asystentów, bez których np. tu w Krakowie żaden do rygorozum nie przystąpi.

Dzisiejszy stan nauk lekarskich wymaga nieodzownie zaprowadzenia obowiązkowych wykładów z psychiatrii, chorób nerwowych, hygieny, chorób skórnych i wenerycznych, a także chorób dzieci. Z tego wynikną koszta, ale to stać się musi w imię postępu nauki!

Oprócz kosztów staje jeszcze na przeszkodzie w zaprowadzeniu tych zmian zasada wolności nauki (Lehr- und Lernfreiheit). Profesor Cybulski jest jednak zdania, że zasadę tę należy poświęcić dla dobra nauki. Profesorowie powinni się zbierać i uchwalać porządek — w jakim rozmaite przedmioty mają być słuchane i powinni ustanowić zakres każdego przedmiotu. Uczniowie na tej ofierze z wolności wyniosą tylko korzyść, zmuszeni do uczęszczania na obowiązkowe przedmioty. Zostałyby jeszcze w każdym razie wykłady docentów — obejmujące specyalności: choroby uszu, krtani, zębów, kurs opatrunkowy itd. — na które uczniowie wedle swej woli uczęszczaćby mogli.

Aby uczniowie mieli jakąś kontrolę nauki swojej, proponuje profesor Cybulski zaprowadzenie kollokwiów z niektórych przedmiotów. I tak z końcem pierwszego roku powinien mieć miejsce egzamin z fizyki i chemii ogólnej, oraz z przedmiotów przyrodniczych. Z końcem drugiego roku kollokwium z fizyologii i anatomii, oraz z chemii fizyologicznej. Dostateczny postęp z tych przedmiotów mógłby być uważany za warunek do zapisania się na rok wyższy. Miałoby to tę jawną korzyść, że uczniowie byliby więcej przygotowani do słuchania przedmiotów na wyższych kursach, a i tę, że pewna ilość mniej zdolnych uczniów już na wstępie opuściłaby wydział lekarski i innym oddała się zawodom. Natomiast zaprowadzenie egzaminów rocznych na trzech ostatnich latach uważa profesor Cybulski wprost za szkodliwe. Uczniowie uczą się bowiem wtedy tylko dla egzaminu — nie będąc w stanie opanować w tak krótkim czasie gruntownie całości. Takie egzamina istnieją w Rosyi: prof. Cybulski przyjrzawszy się im dobrze, bo i sam w ten sposób zdawał, twierdzi, że uczniowie uniwersytetów austryackich, gdzie egzamina te dopiero w absolutoryum studyów lekarskich zdawać można, znacznie więcej posiadają wiadomości, niż uczniowie uniwersytetów rosyjskich.

Reasumując wszystkie dane, zestawił prof. Cybulski tabelę, obejmującą plan całej nauki lekarskiej. Nie przedstawiamy jej tu, odsyłając ciekawych do broszurki szanownego autora. — Przedstawimy tu tylko jego wnioski:

Egzamina ostateczne winny się odbywać dopiero po ukończeniu 10-ciu półroczy. Porządek ich mógłby pozostać takim, jakim jest obecnie, z tą tylko różnicą, że wypadałoby znieść podział na egzamina teoretyczne i praktyczne z tego samego przedmiotu, uzupełnić egzaminem z kilku nowych przedmiotów, oraz w 1 rygorozum opuścić chemię i fizykę.

Rygorozum I mogłoby obejmować anatomię, fizyologię, chemię fizyologiczną, z których egzamina odbywałyby się w odpowiednich zakładach, praktycznie i teoretycznie; z patologii ogólnej i farmakologii tylko teoretycznie.

Rygorozum II, podobnie jak w projekcie ministeryalnym, obejmowałoby anatomię patologiczną, medycynę wewnętrzną, choroby skórne i weneryczne, oraz choroby dzieci, każdy przedmiot praktycznie i teoretycznie.

Rygorozum III: chirurgię, położnictwo i okulistykę praktycznie i teoretycznie; sądową medycynę, hygienę i psychiatryę tylko teoretycznie.

Racyonalny rozkład nauki lekarskiej tylko wtedy będzie możliwy, jeżeli ministeryum przed zaprowadzeniem nowej ustawy nauk lekarskich zniesie służbę wojskową medyków pod karabinem. Ta służba i tak żadnej nie ma korzyści dla celów wojskowych, a medykom wielką przynosi szkodę — powinna tedy stanowczo być zniesioną.

A. K.

---

ci ludzie w zupełnem zamknięciu, oddzieleni od reszty świata, a teraz mają się spotkać ze swymi najbliższymi, których rozeznają w pstrym tłumie. Radość wielka, dziecinna prawie maluje się na ich twarzach, zapominają o strasznych zbliżających się chwilach, o zawieszonym nad nimi wyroku, który ich na wiele lat pozbawić ma wszelkiej radości życia. W tej chwili zapominają o wszystkiem, widzą tylko swoich. Pomimo żandarmów, udało się wielu z nich uścisnąć wyciągnięte dłonie, zamienić kilka słów. Przyjaciele i krewni nie mogąc się powstrzymać na ich widok, rzucili się do nich z radosnemi pozdrowieniami. Nikt z obecnych tam nie zapomni tej chwili — nawet panie i panowie z wyższych sfer, którzy już oddawna byli stracili zdolność do silnych uczuć — teraz dali się unieść ogólnemu nastrojowi. Na chwilę zwrócili swe sympatye ku oskarżonym. Później jednak, gdy powrócą do domu, a czas ich nerwy uspokoi, nie jeden raz zarumienią się na wspomnienie tej słabości. Ale teraz i oni nad sobą zapanować nie umieją. I wiele z tych szanownych dam powiewa chustkami na widok tych strasznych nihilistów. Wszystko to jednak trwa tylko chwilę, żandarmom udaje się wkrótce zaprowadzić znowu porządek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Ale są inne kluby chłopców, mające odmienne zadania. Są to kluby gimnastyczne i towarzyskie. Pierwsze z tych ostatnich

cieszą się szczególnem powodzeniem. Każda osada stara się posiadać kawałek gruntu, na którym by chłopcy po za obrębem regularnych lekcyi gimnastyki, mogli się bawić w rozmaite gry, rozwijające siłę fizyczną. Stosownie do amerykańskiego zwyczaju nadzór nad zabawą spoczywa często w rękach policyanta, wyznaczonego w tym celu umyślnie przez miasto.

Kluby towarzyskie czytają na posiedzeniach zabawne i zajmujące rzeczy, rozmawiają o bieżących sprawach, przeglądają dzienniki, grają w szachy, lub nawet karty (naturalnie w gry nie hazardowe). Wszystko to odbywa się także w obecności kierownika lub kierowniczki, którzy starają się utrzymać całą zabawę w tonie cichym i przyzwoitym.

W klubach specyalnie dziewczęcych, szczególniej zwrócono uwagę na rozwinięcie techniki, potrzebnej w gospodarstwie domowem. Uczą się więc dziewczęta w odpowiednich klubach szycia i innych robót ręcznych, gotowania, gospodarki domowej itd. Wszystkie osady dbają bardzo o dobre wykłady gotowania, ażeby tym sposobem rozszerzyć w okolicy zdrowe, smaczne i tanie sposoby odżywiania się — w miejsce okropnych pokarmów, będących obecnie w użyciu u ludu.

Jedną z najciekawszych organizacyi klubowych są kluby matek. Starsze już kobiety, skazane wyłącznie na życie domowe, nieraz nadzwyczaj przykre z powodu ciężkich warunków bytu klas niższych, często po raz pierwszy dopiero za pomocą klubów dochodzą do poznania swojej człowieczej godności. Kluby matek, będąc w zasadzie niby tylko organizacyami towarzyskiemi, starają się przez odpowiednie kierownictwo wzbudzić w kobietach interes dla spraw ogólniejszych i wydobyć je po nad sferę drobiazgów i plotek sąsiedzkich. Przedewszystkiem więc na posiedzeniach poruszane są kwestye kształcenia dzieci, czystego utrzymania mieszkań, dopilnowania, aby zarząd miejski dbał o warunki zdrowotne okolicy, rozprzestrzenianie książek odpowiednich do czytania w rodzinach, agitacyi przeciwko alkoholizmowi itd. Zebranie takiej organizacyi przedstawia na pierwszy rzut oka dziwny widok. Jest to zbiór kobiet starszych i młodszych, o spracowanych rękach, czerwonych twarzach, w kostiumach nie bardzo modnych, nieraz kulawych i garbatych. Z początku też istotnie kluby matek zbierają się w celu pogadanek towarzyskich i wspólnego wypicia kawy. Po kropli jednak podawana im wiedza i delikatniejsze otoczenie wywierają swój wpływ. Między kobietami znajdują się nawet takie, które pomimo lat 50 lub 60 z całą namiętnością zaczynają się kształcić. Niektóre z nich w czasie wakacyi letnich udają się do letnich szkół, o których będziemy mówili później, i do sześciu godzin dziennie poświęcają nauce. Oczywiście kobiety tego rodzaju muszą wywierać wpływ korzystny na swoje otoczenie, a przedewszystkiem nie grać tej roli hamującej wszelkie szlachetniejsze popędy, jaka nieraz przypada w udziale naszym niewiastom z ludu.

Niewiara i nieufność okolicznej ludności, z którą początkowo tak ciężko przychodzi walczyć osadnikom, przy współdziałaniu klubów, ustępują miejsca gorącemu uwielbieniu i szacunkowi. Po kilku latach osada zdobywa zwykle przeważny wpływ w miejscowości, w której się znajduje. Wpływ ten sięga tak daleko, że tutejsi kierownicy polityczni używają wszelkich możliwych środków, ażeby zrobić z osadników swoich sprzymierzeńców. Zwykle jednak starań tych nie wieńczy skutek pomyślny, gdyż osady, mające przed sobą zadanie czysto kulturne, pragną zachować niezależność od stronnictw ściśle politycznych, lubo mając do czynienia z ludem roboczym, muszą sprzyjać i faktycznie sprzyjają stowarzyszeniom robotniczym, o ile te nie są organizacyami politycznemi. Bardzo wiele unii i innych związków robotniczych zawiązuje się w takich osadach.

Oprócz organizacyi tego rodzaju są naturalnie i męzkie kluby towarzyskie i naukowe. W towarzyskich grają w karty, billard, szachy itp., pod warunkiem jednakże wyłączenia wszelkiej gry hazardowej. Kluby takie przynoszą tę korzyść, że ludzie mogą się w nich zabawić w sposób przyzwoity bez pijatyki, bójek i tracenia w sposób hazardowny pieniędzy, jak to ma miejsce po szynkach lub innych instytucyach tego rodzaju. Wśród ludzi dorosłych kierownik musi uczynić swój wpływ jeszcze mniej formalnym, jeszcze mniej narzucającym się, niż wśród młodzieży. Często nawet w klubach takich nie ma bezpośredniego kierownika, a faktyczne kierownictwo spoczywa w rękach jednego lub dwóch klubowców, zasługujących na zaufanie osady.

Jedną z największych zasług tych wszystkich klubów jest wyrabianie solidarności pomiędzy ludźmi. W epoce, w której żyjemy, w której „człowiek człowiekowi jest wielkiem“, rozszerzanie uczuć przyjaznych wśród ludzi jest jedną z potrzeb najkonieczniejszych. W pośród dzisiejszej zaostrzonej walki o byt istota ludzka potrzebuje stworzyć sobie warunki, w których by mogła poruszać się swobodnie, nie bojąc się ani zdrady ani jakiejbądź ujmy. Mówiąc po prostu — człowiek potrzebuje przyjaciół i sam potrzebuje być przyjacielem, aby módz rozwinąć w sobie lepsze władze swojej duchowej istoty. Otóż bez pomocy organizacyi klubowych, nie opartych na interesie, zbliżanie się i poznawanie większej ilości ludzi jest obecnie rzeczą możebną tylko dla bogatych jednostek. Klub zaś przedstawia taki teren neutralny, na którym bez nadzwyczajnych wydatków i straty czasu mogą się schodzić z sobą ludzie wspólnych upodobań. Klubowcy są tego zupełnie świadomi i nieraz na ich zebraniach słyszy się słowo **b r a t e r s t w o**, jako wyraz uczucia, które ich wszystkich łączy.

Podobne zadanie szerzenia solidarności i wskazywania na wspólne cele, łączące ludzi, ma tak zwana „Gilda sąsiadów“ (Neighbour hood guilde). Instytucya ta stara się usilnie o dopilnowanie zobowiązań miasta względem danej dzielnicy: przedewszystkiem o porządek, hygienę, szkolnictwo etc. Do takiej gildy należą wszyscy sąsiedzi bez różnicy stanowiska i bogactwa. Wybierają oni z pomiędzy siebie zarząd, który zajmuje się sprawozdaniem wszelkich zażaleń zarządowi miasta i dopilnowaniem, aby te zażalenia były uwzględnione. Trzeba bowiem wiedzieć, że wskutek niedbalstwa ze strony biedniejszych dzielnic miejskich, miasto nie wykonywa względem nich swoich zobowiązań ani o połowę tak ściśle, jak względem dzielnic, zamieszkałych przez bogaczy. W ten to sposób gilda wyrabia jednocześnie nawyknienie do samorządu w obywatelach, tak koniecznie potrzebne w państwach demokratycznych.

Do gildy sąsiadów należą jednak de facto nie najbiedniejsi ludzie. Kompletnie wydziedziczony proletaryusz nie może naturalnie zajmować się kwestyami, wchodzącemi w zakres gildy. Z ludźmi tej ostatniej kategoryi zawiązuje osada stosunki przez pośredniczenie między nimi a instytucyami i osobami filantropijnemi. Niektóre z osad w czasie ostatniego kilkoletniego kryzysu przemysłowego w Ameryce rozdawały w ten sposób po kilkanaście tysięcy dolarów. Wskutek tego, że osadnicy znają miejscowe warunki, same towarzystwa filantropijne przychodzą zwykle prosić o pośredniczenie w rozdawaniu pomocy. Pomoc udziela się nietylko w pieniądzach, ale i w rzeczach należących do ubrania i pożywienia, w węglach na opał i t. d. Osadnicy starają się, aby ludzie pobierający pomoc, choć najmniejszą pracą wywdzięczyli się za nią. W tym celu wzywają n. p. raz tygodniowo wszystkie matki rodzin biorących wsparcie i dają im jakie pranie, szycie lub inne zajęcie na parę godzin. Jest to zasadniczą ideą osady, ażeby wszelka działalność była opartą na obustronnych usługach. Przekonano się bowiem, że nawet najmniejsza praca zupełnie zmienia stosunek odbierającego jałmużnę do jego dobroczyńcy. Biedak nie czuje się upośledzonym. Jeżeli zaś jest żebrakiem z fachu, to zwykle usuwa się od zaproponowanej mu roboty i pozostawia wolne miejsce innym, więcej potrzebującym.

W ogóle osady nie uważają siebie za instytucye czysto filantropijne lecz za publiczne zakłady, mniej więcej w tym guście jak szkoły lub szpitale. Gdyby osady występowały tylko w roli zakładów filantropijnych, to z pewnością odstręczyłyby od siebie wszystkie porządniejsze żywioły w danych miejscowościach. Robotnik zwykle szanuje się dostatecznie, aby nie przyjąć jałmużny, chociażby w najłagodniejszy sposób podanej. O drobnych zaś przemysłowcach, handlarzach, nauczycielkach i nauczycielach ze szkół ludowych niema co i mówić. Ludzie ci nie garnęliby się do instytucyi, którą by uważali za filantropijną. To też zwykle za każdą swą pracę osada pobiera maleńkie opłaty, które służą do rozwijania instytucyi, do pokrycia kosztów jej prowadzenia, a w niektórych miejscach tworzą się z nich nawet małe pensye dla osadników. Pod względem finansowym osady dążą do utrzymywania się z własnych dochodów. Zwykle też po kilku latach istnienia dochodzą one do tego. Na początku naturalnie potrzebna jest ofiarność publiczna i prywatna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z wygnania.

II.

Warszawa, 18 sierpnia.

Dowiaduję się z dość wiarogodnego źródła, że pierwszy mój list „z wygnania“ nie zdobył sobie uznania u miarodajnych waszych sfer i osobistości. Całkiem niespodziewana ta wiadomość napełnia serce moje niewymownym żalem i nieledwie rozpaczą. Ponieważ jednak co się stało, odstać się już nie może — przeto pogodzić się trzeba z losem. Zniosę więc bez szemrania tę niełaskę, jak zniosłem już w ciągu nieszczęsnego mego żywota ciosy daleko groźniejsze i w dalszym ciągu krytykować się poważę, o ile się tego okaże potrzeba — co w stosunkach waszych uważam za niewłaściwe, choćbym się nawet miał narazić na większe jeszcze niezadowolenie tak zw. powag waszych.

Zresztą pocieszyć się możecie faktem, że, aby stracić iluzye, należy was poznać bliżej, przebywać w waszem otoczeniu; po za granicami zaś ściślejszej waszej ojczyzny cieszycie się opinią, na jaką, prawdą a Bogiem, nie ze wszystkiem zasłużyliście. Miałem świeżo przekonywający dowód. Przed kilku dniami interwiewował mnie w sprawie Wiel-

kopolski pewien, nawiasem mówiąc, bardzo inteligentny Warszawianin. Zaciekawił mnie, a więcej jeszcze, co prawda, rozśmieszył obraz waszych stosunków, jaki się wyrobił w mózgu tego syna syreniego grodu. Poznań więc, to coś w rodzaju nowoczesnych Aten, społeczeństwo zaś wielkopolskie złożone, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie z filozofów, doktorów filozofii, a przynajmniej z kandydatów na filozofów. Gdy nasze rozmowy zaczynają się i kończą stale na — no, jakby się to wyrazić najparlamentarniej -- na kobiecie, wy, zdaniem Warszawianina, wychylając olbrzymie kufle piwa, radzicie bezustannie nad dobrem ludzkiem w ogóle, a powodzeniem Wielkopolski w szczególności. „*Difficile est satiram non scribere.*“ Nie odbierałem mu tego złudzenia, bo najpierw powstrzymywała mnie resztka lokalnego patryotyzmu, a powtóre — cóż mnie to szkodzić może, że ktoś korzystne o was żywi mniemanie.

Tak – w waszem a po części i naszem przekonaniu wy jesteście ludźmi poważnymi, traktującymi nadzwyczaj seryo życie i jego obowiązki — my lekkomyślnemi nad wyraz istotami, ślizgającemi się po powierzchni spraw najpoważniejszych. A jednak sąd taki jest z gruntu fałszywy. Zapewne, że Warszawa na bezkrytycznym widzu, biorącym za treść życie zewnętrzne, najbardziej rzucające się w oczy jego objawy, sprawia wrażenie lekkomyślnego, goniącego za zabawami miasta, a Warszawianie niemożliwych blagierów i łobuzów, drwiących z najpoważniejszych, najświętszych nawet rzeczy. Obok lowelasów, rozbijających się pojazdami po alejach Ujazdowskich, obok czytelników „Kuryera Porannego“ i „Kolców“ istnieje jednak w Warszawie spory bardzo zastęp ludzi myślących poważnie i pracujących z prawdziwem poświęceniem dla dobra ogółu, obok publicznych, lub zachowujących jeszcze pozory dam wielkiego świata kokot, - kobiety, mogące pod względem energii, inteligencyi i poczucia obowiązków służyć za wzór do naśladowania płci pięknej innych naszych dzielnic.

W waszem zwłaszcza mniemaniu, — słyszałem to niejednokrotnie na własne uszy, bawiąc pomiędzy wami — Warszawa uchodzi za klasyczne miasto nieuctwa i nieuków. A jednak, gdy wy, ojczyzna filozofów, nic prawie, a w każdym razie, bardzo nie wiele czynicie dla nauki, jedna warszawska Kasa Mianowskiego więcej działa na polu naukowem niż cała Galicya z dwoma swemi uniwersytetami i W. Ks. Poznańskie razem wzięte. Mam właśnie przed sobą ostatnie sprawozdanie tej instytucyi. Dowiaduję się z niego, że w roku ubiegłym kasa Mianowskiego wypłaciła na cele, badania i wydawnictwa naukowe 16,363 ruble, że ogólny dochód Kasy w roku sprawozdawczym wynosił 94,062 ruble, a rozchód 92,295 rubli. Dzięki materyalnemu poparciu tej instytucyi wychodzą tak pomnikowe, nie ustępujące najlepszym zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom dzieła jak „*Pamiętnik fizyograficzny*“ (świeżo opuścił prasę drukarską tom XIV tego wydawnictwa) i „Słownik geograficzny“, poświęcony wiedzy przyrodniczej tygodnik „*Wszechświat*“, zajmujący się ludoznawstwem kwartalnik „Wisła“, „Biblioteka filozoficzna“, „Prace fizyczno-matematyczne“, „Prace filologiczne“, pomijając cały długi szereg prac sporadycznych z rozmaitych dziedzin wiedzy.

Lecz na wydawnictwach Kasy Mianowskiego nie ogranicza się tutejsza działalność naukowa. Muzeum przemysłu i rolnictwa wydaje w drugiem już rozszerzonem wydaniu olbrzymich rozmiarów starannie opracowaną *Encyklopedyę Rolniczą, Gazeta Rolnicza* cały szereg bądź to oryginalnych bądź tłomaczonych dzieł fachowych. A przecież naszych hreczkosiejów posądzają tak chętnie w przeciwieństwie do waszych wysoko wykształconych agronomów, o zacofanie i nieprzezwyciężony wstręt do czytania. Najlepiej dowodzi tego zacofania fakt, że pierwsze wydanie *Encyklopedyi rolniczej*, dzieła składającego się z pięciu czy sześciu olbrzymich tomów, wyczerpało się w przeciągu kilku lat w handlu księgarskim.

Aby zaś ocenić ruch tu panujący na polu naukowem, zważyć wypada, że nasze wydawnictwa naukowe u nas liczyć nie mogą, jak w Galicyi, na materyalne a choćby tylko moralne poparcie władz państwowych, że zawdzięczają swe istnienie i swój rozwój wyłącznie prywatnej inicyatywie i prywatnej ofiarności. W rzeczy też samej pod względem ofiarności na cele idealniejsze, nie mające na oku bezpośrednich materyalnych korzyści, żadna z waszych dzielnic równać się nie może z Królestwem Polskiem. Sam fakt znaczniejszej liczby zamożnych jednostek nie tłomaczy tego pocieszającego objawu, jest on przedewszystkiem wynikiem większego niż gdzieindziej poczucia obywatelskich obowiązków w tutejszem społeczeństwie.

Wypowiedział ktoś nie pozbawione pewnej słuszności zdanie, że najlepszem odbiciem danego społeczeństwa jest jego prasa. Do nas jednak zdanie to żadną miarą zastosować się nie da, i ktoby chciał sądzić nasze społeczeństwo podług naszego dziennikarstwa doszedłby do zupełnie fałszywych wniosków. My nie mamy prasy, na jaką zasługujemy, lecz na jaką pozwala nam cenzura. Najżywotniejsze, najbardziej palące kwestye, a mianowicie wszelkie kwestye, dotyczące politycznego naszego położenia, z góry są wykluczone z omówień naszych dzienników. Ale i zagadnienia polityki zagranicznej omawiane być muszą w sposób nie obrażający uczuć ani interesów rosyjskich. Wreszcie i na polu społecznem i ekonomicznem publicysta tutejszy krępowany jest na każdym kroku, ważyć musi każde słowo, aby nie wzbudzić podejrzenia, że żywi nieprzyjazne intencye wobec rządu i jego rozporządzeń. Czyż w takich warunkach o rozwoju prasy może być mowa, czyż dalej prasa uwydatniać jest w stanie przekonania i prądy nurtujące w narodzie, wyjaśniać jego skargi i bóle, stanowić wierny wizerunek wewnętrznego jego życia? Nie ulega wątpliwości, że i poziom wymagań naszej publiczności do podawanej w dziennikach strawy duchowej obniża się coraz bardziej, nie jest to jednak winą prasy, lecz systemu, który nie pozwala jej rozwijać się swobodnie. O ile jej jednak nie stoją na przeszkodzie niezależne od niej okoliczności, prasa warszawska spełnia z uznania godną sumiennością swój obowiązek publicystyczny; daleko lepiej w każdym razie, niż dziennikarstwo w którejkolwiek innej naszej dzielnicy. Przyczynia, się co prawda, nie mało do tego konkurencya pomiędzy pojedyńczemi dziennikami, nie będącemi jak u was i w Galicyi organami stronnictw politycznych, lecz w pierwszej linii przedsiębiorstwami kupieckiemi. Bądź jak bądź publiczność zyskuje na tem współzawodnictwie, otrzymując szybkie i dokładne wiadomości o wszelkich ważniejszych miejscowych i zagranicznych wypadkach. Przytem dzienniki tutejsze daleko baczniejszą, niż poznańskie i galicyjskie, zwracają uwagę na zewnętrzną formę i urozmaicenie swej treści, dbają o czystość języka i poprawność stylu.

Natomiast formalną plagą dziennikarstwa warszawskiego staje się panosząca się z dniem każdym bardziej reporterya. Wyhodował ją również system rządowy, który nie pozwalając karmić czytelników poważniejszą strawą, zmusza redaktorów tutejszych do szukania ucieczki w możliwie szybko podawanych i możliwie sensacyjnych wiadomościach bieżących i potocznych. Specyalność tę uprawiały początkowo „Kuryery“, obecnie podążają za niemi i poważniejsze organa tutejszej opinii publicznej i dzisiaj roi się od reporterów w redakcyach, w których przed kilku jeszcze laty nie było ich na lekarstwo. Rozumie się samo przez się, że warszawskiego reportera porównać nie można z angielskim lub amerykańskim sprawozdawcą, oddającym zawsze cenne bardzo, a niekiedy olbrzymie nawet usługi swemu dziennikowi. Nasi reporterzy są to po większej części moralnie i materyalnie zbankrutowane, pozbawione zwykle najelementarniejszych zasad wykształcenia jednostki, rekrutujące się z najrozmaitszych warstw tutejszego społeczeństwa. Ponieważ im nie wystarcza skromna zwykle płaca za skromniejszą jeszcze produkcyę literacką, przeto główny swój interes upatrują w przemycaniu do dzienników sprytnie bardzo, dla omylenia czujności redaktorów, zredagowanych reklam. Zdarzają się i pomiędzy reporterami wyjątki, jednostki uczciwe, i szanujące swe powołanie, biorąc jednak na ogół, są to wyrzutki społeczeństwa, dyskredytujące cały stan dziennikarski w oczach warszawskiej publiczności. Przeciętny bowiem filister, spotykający najczęściej włóczącego się bezustannie po mieście reportera, w nim właśnie upatruje głównego przedstawiciela dziennikarstwa i podług niego urabia sobie z samej natury rzeczy nie bardzo pochlebną opinię o reszcie dziennikarzy. Zresztą, o ile się przekonać miałem sposobność w Poznaniu, i u was zaczyna już grasować ta plaga reporterska.

X.

Młodzież polska w zaborze rosyjskim.

(K. Skrzycki. Młodzież polska w zaborze rosyjskim. Odbitka z „Przeglądu wszechpolskiego“. Lwów 1899.)

Z obrachunków naszych społeczno-politycznych wykluczamy prawie zawsze naszą młodzież. A jednak niepodobna ustawić bilansu życia narodowego ni horoskopu przyszłości, nie wciągając w rachubę charakteru, skłonności, moralnych i fizycznych zasobów tej generacyi, która ma prowadzić dalej pracę naszą i dziś już na całokształt życia narodowego wywiera wpływ znaczny.

U narodów żyjących w normalnych stosunkach może to mniej jest potrzebne. Tam młodzież, wychowana w szkołach narodowych, mniej w charakterze i usposobieniu oddala się od starszej generacyi, i ciągłość życia nao dowego wytwarza pewną jednolitość pojęć i zasad w następujących po sobie pokoleniach. U nas nienormalne warunki politycznego bytu, system wychowania, skierowany na wynarodowienie uczącej się młodzieży, ucisk materyalny i moralny i wynikające stąd rozdrażnienie umysłów nie pozwalają na prawidłowy rozwój młodej generacyi i wymagają bacznej uwagi na nurtujące pośród niej prądy i na wyrabiający się pod wpływem niekorzystnych okoliczności jej charakter. Wtenczas tylko będziemy mogli osądzić, jakiemi drogami w życiu publicznem i domowem pójdzie dorastające pokolenie, i w razie potrzeby wpłynąć, o ile to w naszych jest siłach, na jego wychowanie.

Zajmowano się tem u nas dotąd tak mało, że nikt bodaj z umysłowego i moralnego stanu naszej młodzieży nie zdaje sobie należycie sprawy. Spotykając się codziennie z objawami, których nie można uważać za dodatnie, czujemy instynktownie wszyscy, że „jest źle“; ale dla czego jest źle, i jak złemu zaradzić, o tem nie myślimy, a co gorsza, przywykamy do niego tak dalece, że z czasem przestaje nas już samych razić.

Najsmutniej przedstawia się niewątpliwie wychowanie młodzieży w zaborze rosyjskim. Znalazł się nareszcie człowiek, który podjął się trudnej a niewdzięcznej pracy zestawienia jej bilansu umysłowego i moralnego, a z zadania tego wywiązał się w sposób, wskazujący na zdolność obserwacyjną i analityczną, lubo nieco pesymizmem przyćmioną. Mamy tu na myśli zamieszczone w ubiegłem półroczu w „Przeglądzie Wszechpolskim“ a obecnie wydane osobno artykuły R. Skrzyckiego p. t. „Młodzież polska w zaborze rosyjskim“.

Przystępując do skreślenia obrazu młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim, zwraca autor nasamprzód uwagę na podpadającą nikłość fizyczną i anemiczny wygląd dorastającej generacyi. Złożyły się na to zdaniem jego rozmaite przyczyny. Stwierdzono przedewszystkiem, że młodzież uczęszczająca do wyższych zakładów naukowych — ta młodzież z której rekrutuje się „inteligencya“ — jest po większej części pochodzenia szlacheckiego, synami tej części szlachty, która dla słabości fizycznej lub braku odwagi nie wzięła czynnego udziału w ostatniem powstaniu i dla tego po tegoż upadku mogła pozostać w kraju.

Słabi ojcowie słabe wydali pokolenie, a słabość odziedziczoną spotęgowało nierozsądne wychowanie, pozostające prawie wyłącznie w rękach kobiecych, i wpływ pozytywizmu warszawskiego, który uznając rozum za jedyną miarę przy ocenianiu wyższości człowieka, tem samem zalety ciała podawał w pogardę. Rozpieszczone i wychuchane przez rodziców dzieci dostają się do gimnazyum rosyjskiego, przygniatającego systemem swoim polskich wychowańców i potęgującego fizyczne zwyrodnienie młodych latorośli.

Naturalnym skutkiem braku sił fizycznych jest brak energii, ochoty i odwagi do pracy samodzielnej, do jakiegobądź czynu samodzielnego, jednem słowem zniewieściałość umysłowa, która stanowi główną cechę młodzieży Królestwa Polskiego. Wadę tę zaś kształci i podnosi do wysokości cnoty szkoła rosyjska, „tłumiąc zasadniczo wszelką samodzielność myśli, zdolność rozumowania, dochodzenia do jakichkolwiek prawd bez pomocy nauczyciela i książki, wyrabiając obojętność umysłową, zdolność uczenia się z jednakowem zajęciem, a właściwie jednakowym stopniem cierpliwości wszystkiego, bez względu na wartość i treść podawanej nauki.“

Wpojona młodzieży w ten sposób niesamodzielność i lenistwo umysłowe wydają w swych skutkach najfatalniejsze owoce. Przynosi ona z sobą z domu wiadomości nie wiele, w szkole rosyjskiej znajduje niesłychanie małe zasoby wiedzy rzetelnej, a nie posiada po większej części dość energii, aby po za szkołą douczyć się tego, czego jej w szkole nie dano. Mniejszość zaś, która czuje w sobie dość energii, aby po za szkołą szukać strawy umysłowej i uzupełnić swe wykształcenie, wyjątkowo tylko dochodzi do celu.

Wypowiedziawszy posłuszeństwo szkole i zwątpiwszy w jej autorytety, idzie młody umysł dalej w tym kierunku rewolucyjnym, szuka na własną rękę prawdy i przejmuje się w ogólności zasadami pozytywizmu. Ale podczas, gdy pozytywizm warszawski z przed 30 laty zwalczał pojęcia „starych“ z fanatyczną wiarą w nowe ideały, młodzież dzisiejsza zadawalnia się samem krytykowaniem tylko, a nie wierzy w to, co służy jej za punkt wyjścia krytyki. Nie uznając żadnych zasad i żadnego programu, nie może też kształcić się systematycznie, lecz szuka tylko tego, „co w łatwy i dobitny sposób uzasadnia zmianę jej pojęć, i strawa umysłowa sprowadza się do artykułów, broszur itp.“ Skutkiem tego wiadomości tej lepszej części młodzieży są w ogólności bardzo powierzchowne i pełne najrozmaitszych braków, i nie może się ona pod względem umysłowym równać z młodzieżą innych europejskich krajów.

Pod względem wykształcenia narodowego sprawa przedstawia się jeszcze smutniej. Większość młodzieży nie umie nawet poprawnie mówić po polsku, nie mówiąc już wcale o gramatyce lub ortografii. Zapomina ona w szkole rosyjskiej, czego się nauczyła w domu, a o samodzielnem uzupełnieniu nauki nie myśli; lepsza mniejszość zaś tak zajęta jest zagadnieniami filozoficzno-społecznemi, że na naukę języka ojczystego nie znajduje czasu, a na uniwersytecie uczyć go się wstydzi. O dziejach narodu młodzież Królestwa Polskiego bardzo ma niedokładne wiadomości, i to samo odnosi się do znajomości naszej literatury, do historyi rozwoju myśli polskiej. Skutkiem tego, „nie rozumie ona należycie ducha języka ojczystego, ducha tradycyi narodowej, nie zna tego, co stanowi najwspanialszy wykwit myśli polskiej,“ — przeszłość narodu jest jej obcą.

„Gdy Anglik np. — pisze Skrzycki — zdobywając coraz większe wykształcenie, coraz więcej jest Anglikiem, bo coraz więcej gromadzi pod swą czaszkę skarbów myśli angielskiej, o inteligentnym Polaku tego powiedzieć nie można. Jest on o tyle Polakiem, o ile się w Polsce urodził i wśród otoczenia polskiego wychował; ale z wykształcenia jest kosmopolitą. Pod naciskiem obcej szkoły i z własnej woli młodzież nasza zrzeka się najcenniejszej spuścizny duchowej po przeszłych pokoleniach narodu, a ztąd pod względem umysłowym nie posiada wybitnego charakteru polskiego, nie jest godną przedstawicielką ducha swej rasy.“

Młodzież polska w zaborze rosyjskim zatraca więc charakter narodowy, wynaradawia się umysłowo zdaniem autora, i to najważniejszy punkt jego zapatrywań. Jeżeli mimo to czuje się polską, jest to skutkiem tradycyi spotęgowanej dotkliwym uciskiem. Ale brak charakteru wybitnie polskiego czyni ją z związku wykazanem niedołęztwem umysłowem jałową i nieprodukcyjną.

Słabością fizyczną i towarzyszącym jej brakiem energii umysłowej tłomaczy się też dziwny pociąg do teoryi socyalistycznej, znamionujący młodzież Królestwa Polskiego. Stoi ona pod względem moralnym dość wysoko, posiada pod wrażeniem ucisku i tradycyi silnie rozwinięte popędy obywatelskie, a zajmując się wiele sprawami społecznemi, spotyka się na każdym kroku z trudnemi zagadnieniami, których o własnych siłach nie umie rozstrzygnąć. Szukając rozwiązania spotykają się młodzi ludzie z teoryą łatwo zrozumiałą, nie wymagającą samodzielnego myślenia, nie pozostawiącą żadnych wątpliwości, nad któremi trzeba by sobie głowę łamać, a zawierającą lekarstwo na wszystkie dolegliwości społeczeństw ludzkich — z teoryą socyalistyczną, sprowadzającą wszystkie zawiłe kwestye społeczne do jednej robotniczej. Nie dziw, że chwytają jej się słabe umysły i poddają się całkowicie pod jej panowanie.

Nie trzeba jednakże sądzić, aby socyalizm młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim był prądem silnym, popychającym do czynu lub przynajmniej agitacyi. Skrzycki nazywa go bardzo trafnie socyalistycznym dekadentyzmem. Podczas gdy gdzieindziej socyalizm spoczywa na silnej wierze w wymarzone ideały i dla tego też objawia się namiętnym udziałem w życiu społecznem, młodzież Królestwa Polskiego używa socyalistycznych zasad tylko dla osłonięcia swej bierności, swej obojętności na wiele spraw ogółu. I nie jest to faryzeuszostwem, lecz skutkiem uczuć humanitarnych, paraliżowanych płytkością umysłu i brakiem energii. Młodzież to czuje, że nie jest tak jakby być mogło i powinno i pragnie naprawy stosunków, a widząc swe pragnienia sprowadzone w socyaliźmie do jednego mianownika kwestyi robotniczej, przyjmuje teoryę tę za swoją i nie troszczy się dalej o poszczególne sprawy, a nie ma dość energii ani dość odwagi, aby dla przeprowadzenia doktryny socyalistycznej jakiekolwiek ponosić ofiary. Jest to sosocyalizm, że tak się wyrażę, czysto platoniczny i jałowy.

Anomalią, ale poniekąd dodatnią stroną młodzieży Król. Polskiego jest pociąg jej do polityki. Tłomaczy się to i tradycyą i stosunkami. Z jednej strony jest dorastające pokolenie nieodrodnymi synami dziadów swych szlacheckich, którzy mieli monopol na politykę, wyłączne prawo radzenia o sprawach rzeczypospolitej. Główną jednakże przyczyną rozpolitykowania się młodzieży są warunki naszego politycznego bytu, ucisk społeczny i brak kierownictwa w walce z rusyfikacyjnemi dążnościami rządu. Był czas, kiedy „młodzi“, jako obóz odrębny, stanowili potęgę w Warszawie, tocząc ze „starymi“ fanatyczną walkę o zasady pozytywizmu. Pamięć tych czasów niewygasła, i dziś młodzież, widząc niezaradność starszej generacyi w walce z rusyfikacyą, pragnie ją zastąpić i wydrzeć jej kierownictwo. Są to mrzonki młodzieńcze; ale uprawiają one do nadziei, że przyszłe pokolenie porzuci bierną apatyę i dążyć będzie do zręcznego paraliżowania rusyfikacyjnego systemu, pytanie tylko, czy do oporu tego sił starczy moralnych i energii...

Może w tej mierze młodzież wykształconą akademicko, zastąpią ci, którym władze rosyjskie nie pozwoliły ukończyć szkół wyższych, a większość z nich musiała opuścić zakłady naukowe dla tego tylko, że nie umiała zgiąć karku pod jarzmo pedagogiki rosyjskiej, że jak na szkołę rosyjską zbyt wiele miała energii. Wielka ich część musiała przerwać zupełnie studya, ale wielu kształciło się po za szkołą rządową i pracując nad sobą w trudniejszych wprawdzie warunkach, lecz unikając skoszlawienia moralnego i umysłowego doszło dalej od tych, którzy ukończyli szkołę. Z ich grona wyszła większa część tych młodych pracowników, którzy dziś w Królestwie Polskiem obok Galicyan pielęgnują naukę i literaturę.

Tak mniej więcej przedstawia się w grubych zarysach obraz młodzieży kształcącej się w wyższych zakładach naukowych Królestwa Polskiego. Nie powiemy, aby mimo mnóstwa trafnych spostrzeżeń, był zupełnie wyczerpującym i wszechstronnym; ale o to też nie chodziło autorowi. Chciał on tylko zwrócić uwagę społeczeństwa na ważną sprawę wychowania młodzieży na czynnych i energicznych obywateli kraju i wywołać dyskusyę, która by mogła doprowadzić do naprawy stosunków. Od rządu rosyjskiego nie można się chwilowo w tej mierze spodziewać żadnych zmian i ulepszeń; tem więcej powinien starać się sam naród o to, aby przyszła generacya stanęła na wysokości zadania, które ją czeka, i przeciwdziałać zgubnym wpływom szkoły rosyjskiej.

Z. Olecki.

Wolne Głosy.

Pod wrażeniem występu Sokołów w Urbanowie.

Upłynęły już wieki całe od czasów, jak stawali naprzeciw siebie do walki w turnieju w stal zakuci rycerze, a uderzając na siebie kruszyli kopje, druzgotali tarcze, łamali koncerze, młotami rozbijali zbroje, by pokonać przeciwnika; dzisiaj występują na arenę turnieju ludzie pracy z otwartą piersią, odkrytą głową, zbrojni w samowiedzę, że wyzwolenie ludu przez o ś w i a t ę, p r a c ę i z d r o w i e jest myślą naszą wspólną, i że w tym kierunku spotykają się serca i działania rozumnych i uczciwie myślących patryotów. Jeżeli turniej rycerski czasów zamierzchłych, — acz tchnął poniekąd barbarzyństwem, — imponował jednak wspaniałą okazałością, to dzisiejszy skromny, ma szlachetniejsze dążności i dla ludzkości pożyteczniejsze.

Do takiego nowoczesnego turnieju wystąpiły w Urbanowie nasze „Sokoły“ w liczbie 300. Rosło serce patrzącym na te muskularne postacie, które wczoraj pracowały na chleb powszedni, a dzisiaj raźno do popisu stanęły w imię dobra ogólnego i pokazania zgromadzonym ziomkom, że ćwiczenia gimnastyczne dają zdrowie i siłę, — które jeźli komu, to nam do utrzymania egzystencyi są konieczne.

Na dany znak rozeszły się oddziały miarowym krokiem na cztery strony boiska, a po niedługiej chwili ukazali się pojedyńczo gimnastycy na przyrządach, produkując się swą siłą i zręcznością, które zebrana publiczność grzmotem oklasków darzyła. Wszystkie produkcye wypadły świetnie, niektóre z nich przechodziły oczekiwania, jak akrobatyczne salto-mortale, wykonane z drabiny, potem błyskawiczne tworzenie niezwykle trudnych piramid itp. Wolne ćwiczenia nie pozostawiły nic do życzenia, przyniosłyby nawet zaszczyt wyćwiczonemu wojsku. Znakomicie też wywiązali się z swego zadania Sokoły-kołownicy, którzy jeździli w ośm par poloneza w tak symetrycznych figurach, że nie powstydziłaby się za nie sala Bazarowa.

Cały korpus występujących „Sokołów“ zrobił miłe i chwytające za serce wrażenie, a kto się wpatrzył w inteligentne rysy, tej młodzieży, ten mógł w nich wyczytać sentencyę *„in corpore sano, mens sana“*. Instytucya Sokołów oddziaływa korzystnie na ogół i zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie; nie może bowiem czas wolny od pracy pożyteczniej być obrócony jak na ćwiczenia gimnastyczne, dające zdrowie, wyrabiające muskuły i wychowujące społeczeństwu twardych, energicznych, karnych pracowników.

Publiczność Poznańska okazała swą sympatyę dla Sokołów licznym udziałem. Około 5000 osób zapełniło tak boisko jak ogród cały. Przesuwały się obok siebie połączone ideą wspólną wszystkie stany, zgromadził je pociąg ku s w o i m i bezwiednie wytworzyła się upragniona jedność, mająca te same dążności i cele.

Nie było tylko jednej koteryi!

Jak nie masz w żadnem społeczeństwie samych doskonałości, tak też i w naszem są wyjątki, odłamujące się od całości, do jakich zalicza się odłamek czy ułamek ultralegalistów, hołdujący polityce tak zwanej ugodowej. Uznał on za stosowne niezaszczycać swą obecnością uroczystości ludowej w Urbanowie, by nie skompromitował go cień niwelującego demokratyzmu. Odłamek ten wzywa od czasu do czasu, mianowicie przed wyborami do jedności i zgody w imię „porządku i ładu.“ Gdyby słowa jego były natchnione prawdą, to szłyby w parze z czynami, i on zawsze i wszędzie byłby razem z ludem, którego jak widzimy unika. Trwoni ducha na marne słowa i puste frazesy, a pracy jego szczerej nie widać.

Duch narodowy ogarniając coraz szersze masy, budzi je z senności, obchodzi tryumf swego zwycięstwa i wzywa cały ogół do pracy. Ktokolwiek nie chce zostać pogardy godnym pasożytem, wyzyskującym na własną korzyść mozoły, poświęcenie i zasługi przodków, niech stawa do szeregów pracowników naszych: — odłogów jeszcze dużo, znajdzie się na nich dla każdego dosyć miejsca do pracy wedle sił i zdolności, byle tylko chęci starczyły.

Molo.

TO I OWO.

Brak kobiet.

Są kraje, gdzie mężczyźni narzekają na brak kobiet. Dowodem tego, jak dotkliwie uczuwać się daje fakt ten w niektórych miejscowościach „dalekiego Zachodu“ i północnej Ameryki jest podanie, złożone na ręce burmistrza w Vancouver w Kolumbii. W podaniu tem zawarta jest prośba założenia przytułku dla dziewcząt, któryby dostarczał żon wolnym młodzieńcom zachodniej Kanady. Obecny stan rzeczy usprawiedliwia prośbę tę w zupełności, na całym bowiem zachodzie kobiet jest bardzo mało, podczas gdy w miasteczkach na wschodzie jest ich za wiele. Podanie to tem jest ciekawsze, że wyszło nie od kandydatów, lecz od kandydatek do stanu małżeńskiego. Petentki zaznaczają w podaniu swem z naciskiem, że na zachodzie przeszło 40 tysięcy młodzieńców skazanych jest na starokawalerstwo, gdy tymczasem na wschodzie tyleż przynajmniej dziewcząt gotowych jest serce ofiarować małżeństwu.

Rząd kanadyjski, pragnąc zwiększyć immigracyę do zachodnich prowincyi, wyznaczył nagrodę dla osiedlających się tu przybyszów, co wywołało silny napływ ludności męzkiej do Kolumbii, Manitoby i wyspy Vancouver.

Główna jednak część przybyszów składała się bądź z myśliwych, którzy rozbiegli się po lasach, bądź z tkaczów i wogóle z ludności rolniczej, która w marnych lepiankach nędzny swój żywot prowadzi. Oryginalna ta petycya dziewcząt wchodniej Kanady jest więc wypływem „głęboko odczutej“ konieczności i wywołała w pismach tamtejszych obszerną dyskusyę. Większość pism oświadczyła się za projektem.

Zdaniem ich, gdyby każdy z tych 40 tysięcy, którym grozi widmo starokawalerstwa, ofiarował tylko pięć dolarów na założenie takiego schronienia, to suma ztąd powstała wystarczyłaby na utrzymanie stu kandydatek do stanu małżeńskiego. Dalsza egzystencya zapewniłby się dała temu schronieniu w ten sposób, że każdy biorący zeń żonę obowiązany byłby do złożenia pewnej sumy. Dziewczęta łatwo możnaby sprowadzać ze wschodu.

W Ameryce nie jest bynajmniej nowością, że rząd podejmuje się pośrednictwa w małżeństwach. Coś podobnego istniało już przed 200 laty w koloniach Virginii: sławna kompania Hudsonbai do bardzo niedawnych czasów dostarczała urzędnikom swoim, osiadłym w samotnych koloniach północnej Ameryki dozgonnych towarzyszek aż z Londynu.

Wychodzący w Milwaukee dziennik przytacza pewną w stanie Wisconsin położoną miejscowość, która pozbawiona jest zupełnie kobiet. Nazywa się ona Aliceton w hrabstwie Jefferson, liczy stu mieszkańców, wśród nich jednak nie ma ani jednej istoty, która „splata ciernie z kwiatami“ w podziale z mężem. Są tam tylko sami mężczyźni! Że jednak wartość płci pięknej ocenić umieją, dowodem tego nazwa miejscowości: „miss Alice Aspinwall.“ Panuje tam mimo to ład i czystość tak wzorowa, że brak kobiet nie odrazu daje się poznać. Już kilka razy rozchodziła się pogłoska, że „Aliceton“ utraci sławę jedynej w Stanach Zjednoczonej wolnej od kobiet osady, że mianowicie jeden z jej mieszkańców zamierza zawrzeć związek małżeński; pogłoska ta wywołała zawsze ogromne wśród mieszkańców wzburzenie, okazywało się jednak później, iż to był żart niewinny.

Dla pragnących wyjść za mąż panien — pole do tryumfu!...

* * *

„Ogórki.“

Mają one swoje prawa i okres panowania w życiu bieżącem; ale gdy w ich godła prasa zaczyna się przystrajać i zalewać swe szpalty wodą ogórkową, licząc na pobłażliwość czytelników, znużonych upałami, jest to już karygodne niedbalstwo, lekceważenie ogółu, który ma swoje kaprysy nielogiczne, ale często też może rościć bardzo słuszne pretensye i za własne pieniądze żądać odpowiedniego towaru. Kto jest wrażliwy na usterki, ten łatwo dostrzeże, że w „sezonie martwym“ wiadomości te same powtarzają się w jednem piśmie po parę razy tygodniowo, że nawet takie bliźnięta czasem figurują obok siebie w jednym numerze, że wreszcie masa omyłek trudnych do przebaczenia zwiększa się zazwyczaj w lecie. Mylnej zasady trzymają się redakcye pism, jeżeli sądzą, że znużony upałem czytelnik, rozleniwiony na „wilegiaturze“ lub w miejscu kuracyjnem, przebiega niedbale szpalty i nie dostrzega tych grzechów. Karbuje on je sobie dobrze w pamięci i buduje z nich nieufność do danego organu. Lato istotnie wyciska swoje piętno na pracy dziennikarskiej, gdyż zwykle najlepsze siły po całorocznej pracy udają się w tym czasie na wypoczynek. Ale to jeszcze nie upoważnia sklepików dziennikarskich do dawania odbiorcom zleżałego lub sfałszowanego towaru. Takim produktem, dręczącym ogół, są obecnie korespondencye z różnych miejscowości letnich, przeznaczonych na zabawy lub kuracye. Bale, koncerty, korsa, reuniony, teatry amatorskie, loterye — aż mdło i słabo się robi! Pewna znajoma opowiadała mi niegdyś, iż zemdlała pod wpływem nieustannej, czczej gadaniny jakiejś terkotki. Na wrażliwych, osłabionych i nerwowych może tak samo podziałać obecnie ta powódź słów gazeciarskich, ten gorący jej udział w pustocie życiowej garstki społeczeństwa, skazanego na wieczne próżniactwo lub podrygiwanie.

* * *

Młot godłem wystawy berlińskiej.

Co ma oznaczać młot, wznoszący się groźnie nad ziemią, a zdobiący afisze i ogłoszenia wystawy przemysłowej berlińskiej? Nie jest to bynajmniej symbol przemysłu, lecz hegemonii Niemiec nad światem: jest to młot Thora. W tego rodzaju starogermańskich reminiscencjach mitologicznych, jak powszechnie wiadomo, specyalnie lubuje się cesarz Wilhelm II, w Eddzie i Nibelungach wyszukujący imion dla swych dzieci (Eitel), lub tytułów dla kompozycyi (Aegir). Znaczenie tego młota Thora objaśnia najlepiej przytoczony poniżej wiersz Feliksa Dahna, prof. uniw. wrocławskiego, znanego barda urzędowego wielkości Prus i domu Hohenzollernów:

Thors Hammerwurf.

Thor stand am Mitternacht-Ende der Welt,
Die Streitaxt warf er die schwere:
„Soweit der sausende Hammer fällt.
„Sind mein das Land und die Meere.

Und es flog der Hammer aus seiner Hand,
Flog über die Ganze Erde,
Fiel nieder am fernsten Südens Rand,
Dass alles sein eigen werde.

Seitdem ist's freudig Germanenrecht,
Mit dem Hammer Land zu erwerben:
Wir sind von des Hammergottes Geschlecht
Und wollen sein Weltreich erben.

Ciekawy ten dokument wybujałego pruskiego szowinizmu znaczy po polsku mniej-więcej:

Młot Thora.

Thor na północnym ziem krańcu stał,
Młot ciężki cisnął w przestworza:
„Dokąd dosięgnie świszczący młot —
Tam lądy moje i morza!"

Młot wyrzucony z potężnych rąk
Nad ziemią przeleciał całą,
I na ostatni spadł świata krąg —
Wszystko się bogu dostało.

Odtąd ma prawo germanów lud
Zdobywać obszary młotem,
Gdy wstanie Thora potężny ród
Swiat cały legnie pokotem!...

Na Wyłomie.

(Policya na zlocie poznańskim. — Oj! Lechu! Lechu! — Pod adresem małych kolegów).

Co to? Mały stan oblężenia w Poznaniu? Przesuwając się między szeregami wiejskich żandarmów i miejskich konstablerów zgromadzonych na zlocie Sokolstwa naszego, doznawałem chwilami wrażenia, że istotnie na coś podobnego się zanosi. Gimnastyka! Jakież to straszne słowo! Jaki strach bije z niego ku wyżynom rządowym i jaka olbrzymia skrzynka Pandory, pełna ukazów, otwiera się za tem magicznem zaklęciem. Dziękowałem Bogu, że na drodze mojej nie spotkałem żadnego rowu, bo gdybym tak musiał skoczyć przez niego, usłyszałbym może, jak niegdyś Borne, ponure słowo policyanta: „Złoczyńco! Skoczyłeś przez rów, a więc gimnastykowałeś, a więc aresztuję cię."

Żart żartem. Nie chcę ubliżać policyi pruskiej, bo od czasów Bornego przybyło jej wiele delikatności i rozsądku, — przynajmniej w Poznaniu. Kazano jej stanąć na miejscu ćwiczeń sokolskich, kazano świecić pikelhaubą jak czerwoną chustką w arenie hiszpańskiej, więc usłuchała, ale w zakresie samodzielności swojej złożyła dowody taktu i nie zdradzała nigdy żandarmskiej arogancyi. Komisarz rządowy, kierujący tą policyjną strażą bezpieczeństwa, przestrzegał nader sumiennie, by literze ukazów zadość się stało, lecz otaczał się tą dyskrecyą i uprzejmością rozumną, która nie wymachuje szpadą i nie krzyczy na całe gardło „ja władca i pan," lecz szeptem, półtonem, grzeczną wskazówką spełnia swój obowiązek. Zdawało mi się nawet, że w tych wszystkich pikelhaubach rozrzuconych na drogach, przy bramach i w ogrodach Urbanowa, był jakby lekki uśmiech ironii, jakby jakieś niewypowiedziane „T a n t d e b r u i t p o u r u n e o m e l e t t e." Nic dziwnego! to ludzie praktyczni, zaglądający prosto w oczy stosunkom i zrośli z społeczeństwem naszem. Dla nich wszystkie ujadania i szczucia Hakatystów to fałszywy alarm. Znają charakter ludności, znają dokładnie ducha towarzystw, znają Sokołów i wiedzą dobrze, że na wszystkich naszych zebraniach i zabawach mogą z czystem sumieniem zaśpiewać „Lieb Vaterland magst ruhig sein." Lecz tam u góry, gdzie przy zielonych stolikach fabrykuje się polityka miejscowa, — tam w rejencyjnych gabinetach, gdzie z wysokich okien spoglądają na życie nasze i słuchają chętnie opowiadań o żelaznym wilku, stworzonych kłamstwem panów H. K. T. — tam oczywiście kuje się surowe werdykty i porusza tłum policyantów, pełniących z cichym protestem w duszy niepotrzebną i drażniącą spokojnych obywateli służbę. Ba! tam postarano się nawet o to, by Sokołom nie było za jasno, i zakazano spalić fajerwerki. Niech wam idzie na zdrowie, przezacni nieprzyjaciele jasności, — to nam humoru nie popsuje, a każdy sokół gotów trawestować historyczne słowa owego Spartanina z pod Termopilów: „Gdy nam zgasicie rakiety, bawić się będziemy po ciemku."

Cóż jednak dziwić się pruskim urzędnikom, kiedy i w prasie polskiej znalazł się typowy wróg światła, któremu imię „L e c h", gazeta gnieźnieńska Po rozmaitych podrygach demokratycznych organ ten zawinął do spokojnej a obfitującej w tłuste ryby i drogocenne perły przystani „ładu i porządku". Wodzem naczelnym jest ks. Sołtysiński, a jego maszyna do pisania zwie się p. Gajzler. Znam nerwowe kobiety, które na widok żaby wpadają w paroksyzm histeryi, — czytając „Lecha" przekonuję się, że przy końcu dziewiętnastego stulecia są jeszcze ludzie, którzy na dźwięk wyrazu „demokracya" dostają konwulsyi. Zdarzyło się bowiem, że jeden z mówców zlotowych, szkicując rozwój społeczny w przedświcie wieku naszego, wspomniał o „zwycięztwie zdrowej demokratycznej cywilizacyi nad światem peruk pudrowanych" i otóż ta niewinna notatka odegrała w obec „Lecha" tę samą rolę, którą odgrywa żaba w obec bab histerycznych. Krzyknął, zapienił się i dostał wielkiej choroby. Nieszczęsny mówco! Cóżeś uczynił? Ty to „rzucasz spleśniałe i zbutwiałe ziarna w serca młodych sokolików", ty „trujący pokarm społeczny" zamiast zdrowej strawy im podajesz. Tak mówi „Łech", gazeta gnieźnieńska, lubo na wstępie paroksyzmu dziennikarskiego przyznaje z smutną determinacyą, że „idea demokratyczna stanowi zawsze podwalinę konstytucyjnego ustroju."

Mój Lechu poczciwy. pojmuję twoją boleść i twój żal spóźniony, pojmuję także, że irytuje cię demokratyczny prąd Sokolstwa naszego, pojmuję wreszcie, że drażnić cię musi ta rola kierująca, którą „Młoda Polska" odegrała na zlocie, ale widzisz, — taka już natura ludzka, że przed napisaniem polemicznego artykułu słaby dziennikarz powinien zawsze wziąć prysznic zimnej wody na głowę, bo w przeciwnym razie zdarzy się łatwo wypadek, że napisze taki dziwoląg logiczny i taki nonsens krzyczący, jak ty w numerze poświęconym zlotowi. Ośmielam się także zwrócić uwagę publiczności na ten dziwny demokratyzm, którym „ład i porządek" czytelników swoich kokietować lubi. Są w tym obozie sprytni dziennikarze, którzy rolę demokratów grają z mistrzostwem rutynowanych aktorów, — zdarzy się niekiedy jednak takie niezręczne „e n f a n t t e r r i b l e" w rodzaju „Lecha", i w mgnieniu oka przez dziury Kościuszkowskiej sukmany szczerzy swe zęby reakcya. I wtedy dowiadujemy się, że obóz przeciwników naszych nietylko uważa za grzech śmiertelny żywą, bezpośrednią tendencyę demokratyczną, lecz wyklina nawet historyczne wzmianki o wielkim przełomie społecznym, który sto lat temu w Francyi wziął początek. Oj! gaduło gnieźnieński, jak ty niezgrabnie służysz swoim panom! Gdybyś jednak nawet wirtuozem był w zawodzie swoim, nie powstrzymasz tej wielkiej ewolucyi społecznej, która, — jak słusznie mówi „Orędownik" — „potoczy się dalej własną siłą, nie oglądając się ani na twój patronat, ani na twoje wyzwiska."

Na koniec dwa słowa jeszcze. Głosy prasy prowincyonalnej o zlocie poznańskim są interesującym przyczynkiem do charakterystyki stosunków naszych, zniepravionych epidemią niehamowanych zawiści redaktorskich. Ponieważ jednak drobiazg dziennikarski operuje z dziwną konsekwencyą żółtemi dzióbkami koło własnych nóg moich, a nie mam zwyczaju odgrywać roli Heroda i odpierać publicznie na tem miejscu inwektyw osobistych. zatem tym wszystkim głębokim myślicielom subtelnym literatom i szerokim krytykom z prowincyi, którzy zamieniwszy pióro do pisania w pędzel do murzenia, więcej własne ręce niżm nie poplamili, nie przesyłam nic, prócz k r o p k i, — symbolu ich małości.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W uzupełnieniu notatki. zamieszczonej w poprzednim numerze, donosimy, że oprócz wymienionych już artystów i artystek, angażowanych świeżo przez p. Edmunda Rygiera dla teatru poznańskiego, nowy dyrektor sceny naszej zakontraktował jeszcze siły następujące: panowie S t r ó ż e w s k i (tenor i aktor charakterystyczny), B e ł c i k o w s k i, B r z e z i ń s k i i A u g u s t y n o w i c z (początkujący artyści); panie K a r l i ń s k a (do ról lirycznych), S t r ó ż e w s k a (do śpiewu i tańca), Z a w i s t o w s k a i R ó ż a ń s k a (początkujące artystki). — Po zmarłym przed niedawnym czasem Edmundzie Goncourcie pozostała jeszcze sztuka pt. „La Faustin", przerobiona przez niego z powieści pod tym samym tytułem. Utwór ten wystawiony będzie w zimie z Sarą Bernhardt w głównej roli kobiecej — Jak donoszą dzienniki włoskie, Mascagni pisze obecnie nową operę pt. „Irys". — Dla świata muzycznego ciekawą będzie wiadomość, iż znaleziono trzy nieznane dotąd piesni Franciszka Szuberta. Kompozytor ten, jak wiadomo, tworzył bardzo łatwo i szybko, niekiedy nawet notował pieśni na stole piwiarni, w której bywał stałym gościem. To też kompozycyi wiele zaginęło. Trzy pieśni, świeżo znalezione, były w posiadaniu p. Mayerhofera. Manuskrypt kompozycyi, ujęty w formę zniszczonego już dziś albumu, wystawiony będzie na „Wystawie Szuberta", którą Wiedeń organizuje na początku przyszłej wiosny. — Adelina Patti wystąpić miała w Londynie w koncercie na cele dobroczynne. Bezpośrednio przed koncertem odmówiła jednak, bo bilety kosztowały od osoby tylko... 10 mr. Żądała, by cena wynosiła minimum 20 mr. Jak na stary, przekrzyczany głos, cokolwiek za wiele.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

N. w Ostrowie. — Dziękujemy uprzejmie za przysłany nam numer gazetki. Uwagi te są tak naiwne, że polemika staje się zupełnie zbyteczną. Dla informacyi Szanownego Pana nadmieniamy tylko, że zmuszeni byliśmy przed kilku tygodniami odrzucić temu „autorowi" kilka niedołężnych artykułów, nie kwalifikujących się nawet do trzeciorzednych pisemek. I n d e i r a e. Ztąd gniewy i zemsta, — ale Boże! jaka to zemsta!

M. w Inowrocławiu. — Dobrze Pana poinformowano. Humorystyczny wierszyk na temat „ulubionej klątwy polskiej," wygłoszony na wieczornicy sokolskiej, jest podany w książce Bełzy o „Maryli", jako nieznana improwizacya A d a m a M i c k i e w i c z a.

Sokół. Jest przyjętym w Sokolstwie zwyczajem, że przewodniczący nie dzwonkiem, lecz trąbką udziela sygnałów na uroczystych wieczornicach, ucztach i t. d. Nie była to zatem innowacya. jak się Panu wydaje, lecz rzecz najzwyklejsza, ogólnie przyjęta.

X. X. Na życzenie Pańskie stwierdzamy, że p. Henryk Dzierżykraj Morawski, sprzedając wieś rajny na kolonizacyę, działał podobno pod presyą materyalnej. Ostatnie słowo w tej sprawie wypowie nasz korespondent.

Ż w Pradze. Dziękujemy za informacye. Skorzystamy z nich w jednym z najbliższych numerów.

M. S. Redaktorem „G ł o s u N a r o d u" jest obecnie p. Ehrenberg, redaktorem „D z i e n n i k a K r a k o w s k i e g o" p. W. Feldmann.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28